Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 14

Beato Angelico

Wpośród mistrzów z epoki wczesnego włoskiego renesansu Fra Giovanni da Fiesole zajmuje jedno z pierwszych, a zupełnie odrębne miejsce, dzięki licznym swym obrazom i freskom, przesiąkniętym duchem pewnej mistyki religijnej ekstazy.

Był to jeden z tych nielicznych mistrzów, który poświęciwszy całe swe życie służbie Bożej, cały swój wielki talent wykorzystał wyłącznie do tego celu. Długie jego, pracowite życie było jedną modlitwą, jednym hymnem pochwalnym na cześć Stwórcy. Nie pożądał sławy ni zaszczytów, któremi współcześni tak chętnie obsypywali mistrzów; skromny i cichy pracuje bez wytchnienie, żyjąc w jakimś nierealnym świecie niebieskich wizyi.

* * *

Guido da Vicchio, jak brzmi prawdziwe nazwisko mistrza, urodził się w małej wiosce Vicchio, w prowincji Mugello (Toskanja) w roku 1387.

Jako dwudziestoletni młodzieniec wstępuje do klasztoru Dominikanów; po jednorocznym nowicjacie w Cortonie przyjmuje imię Fra Giovanni Angelico da Fiesole.

Wkrótce jednak cały zakon zmuszony jest opuścić terytorjum republiki florenckiej, a to w związku z wybuchłą schyzmą, w której Dominikanie opowiedzieli się po stronie pracowitego papieża Grzegorza XII.

Przez dziesięć lat przebywa Fra Giovanni wraz z całym konwentem w Cortonie i Foligno, — dopiero w roku 1418 wraca do klasztoru św. Dominika we Fiesole, gdzie pracuje pilnie aż do roku 1436, tworząc prześliczne minjatury, ozdabiając chorały i psałterze oraz malując pierwsze swe obrazy. Z minjatur tych nie dochowało się nic zgoła; obrazy z tego okresu czasu świadczą o niewątpliwym talencie, ale jeszcze nie dojrzałym, nie skrystalizowanym. Mistrz dopiero zaczyna rozwijać skrzydła do szerszego lotu.

W roku 1436 Cosimo de Medici oddaje Dominikanom w posiadanie klasztor św. Marka we Florencji. Klasztor wymaga przebudowy, odnowienia i odmalowania.

Pracę tę dzielą między siebie: Michelozzo Michelozzi, jako architekt, i Fra Giovanni, jako malarz. W ciągu dziesięciu lat ozdabia Fra Giovanni kościół i krużganki: powstaje przepiękny obraz Madonny z Dzieciątkiem w ołtarzu głównym, oraz około 50 fresków, wśród których powtarzają się specjalnie przez mistrza umiłowane tematy: Zwiastowania N. M. P. i Sądu ostatecznego.

W dziełach tych zabłysnął Fra Giovanni całą pełnią swego dojrzałego już talentu: wszystkie postacie stają się naturalne, żywe, jakkolwiek pełne harmonji i wdzięku niemal nadziemskiego, — kompozycja planowa, doskonałe opanowanie przestrzeni i perspektywy, koloryt dziwnie miękki i harmonijny.

Niema już w tych obrazach śladu jakiegoś fanatyzmu religijnego, wolne są one od wpływów suchej scholastyki i od zasklepienia się w uświęconych poniekąd szematach trzynastego wieku. Są to prawdziwe dzieła sztuki, otwierające wspaniały okres wczesnego renesansu.



Fra Giovanni da Fiesole: Zmartwychwstanie

I jeszcze jedno: wbrew rozpowszechniającemu się coraz bardziej zwyczajowi portretowania na obrazach wybitnych współczesnych osobistości, — Fra Giovanni daje swym postaciom rysy niejako bezosobowe, idealne, — kładąc cały nacisk na odmalowanie wewnętrznego stanu ducha, bólu, rozpaczy, czy niebiańskiej niemal ekstazy.

Szczyt swej twórczości osiąga we wspaniałem „Zdjęciu z krzyża“, znajdującem się obecnie w Akademji sztuk pięknych we Florencji. Jest to dzieło, o którem jeden z krytyków wyraża się temi słowy: „pozwala nam ono wglądnąć w ów wewnętrzny świat, w którym Angelico oddychał i żył. Źródłem jego sztuki nie jest tu ani naiwna wiara dziecięcia, ani zapłakana pobożność prostego braciszka klasztornego, — lecz jasna i wrażliwa mistyka teologa“.

Obraz, podzielony na trzy części, zachwyca zarówno samą kompozycją jak i umiejętnem rozłożeniem i stopniowaniem kolorów oraz mistrzowskiem oddaniem wyrazu niemej, a wstrząsającej boleści.

* * *

Sława Fra Giovanni'ego przenika daleko poza granice Florencji. W roku 1445, powołany przez papieża Mikołaja V, przybywa do Rzymu, gdzie maluje freski w kaplicy św. Mikołaja. Przez parę miesięcy przebywa też w Orvieto, ozdabiając tam swemi freskami kaplicę w tamtejszej katedrze. Jako jeden z jego pomocników figuruje wówczas Benozzo.

Pracy tej jednak — z niewyjaśnionych powodów — nie kończy. Wraca do Rzymu i tam umiera, dnia 18 marca 1455.

* * *

Z pośród licznych dzieł wielkiego malarza-mistyka uchodzą za najlepsze: „Zdjęcie z Krzyża“, „Św. Stefan rozdający jałmużnę“ (fresk w Watykanie) „Koronacja N. M. P. (w Akademji Florenckiej), „Zwiastowanie“ (Galerja w Madrycie), — oraz postacie grających aniołów, zamieszczone po bokach wielkiego tabernakulum (obecnie w Galerji Uffisi we Florencji).

Fra Giovanni, zwany przez Włochów „Il beato Angelico“, łączył w sobie największą religijność, graniczącą z ekstazą, — z ogromnym talentem, który oddał w całości służbie Bożej. Dlatego dzieła jego są równocześnie dokumentami swej epoki posiadającemi trwałą wartość, świadczącemi o głębokiej wierze i religijności średniowiecza.

(K. r.)



Fra Giovanni da Fieole: Anioł grający



Fra Giovanni da Fiesole: **Anioł**

Z historji kościoła O.O. Kapucynów w Krakowie

Welki dzień, który przed laty stuczterdziestu przeżył Kraków, 24 marca 1794 roku, dzień przysięgi Kościuszki, dzień, w którym w sercach obywateli podwawelskiego grodu zaświtała jutrzenka wolności, wydzieranej Narodowi przez zaborców, zaczął nasz bohater narodowy cicho i skromnie.

Rankiem tego dnia, po nocy nieprzespanej, ułożeniu „Aktu powstania obywatelów mieszkańców województwa krakowskiego" poświęconej, udał się Kościuszko w otoczeniu skromnego orszaku dostojnych gości, z dziś już nie istniejącego pałacyku Wodzickiego, gdzie był zamieszkał, do pobliskiego kościoła OO. Kapucynów. Szli przez ogród pałacowy, a potem furtką, której miejsce istnienia wskazuje odpowiednia tablica, umieszczona na jednym z domów, położonych przy ulicy Loretańskiej. Od furtki do kościoła już tylko parę kroków.

Kościół OO. Kapucynów, w którym Tadeusz Kościuszko modlitwą rozpoczął dzieło oswobodzenia ojczyzny, w którym gwardjan Zakonu O. Kajetan poświęcił jego oręż, dziwnym zbiegiem okoliczności łączy się bardziej niż wiele innych świątyń krakowskich z dziejami walk poprzedników Kościuszki i jego następców.

Kapucyni, Zakon zatwierdzony 13-go lipca 1528 roku przez Papieża Klemensa VII, przybyli do Polski dopiero w listopadzie roku 1694. Znani byli już wówczas na szerokim świecie ze swych zasług położonych na polu misyjnem. Mieli oni już wtedy swoje klasztory w Rosji, na Syberji, w Brazylii, Kongo, Syrji, Egipcie, Tunisie, Grecji i w wielu innych krajach. W połowie XVIII stulecia liczba zakonników tego zgromadzenia dosięgała cyfry 35 tys.

Sprowadził ich do Polski Jan III Sobieski który wystawił Kapucynom w Warszawie klasztor i kościół, jako votum za pomyślne wyprawy przeciw Tatarom i Turkom.

W rok później 20 lipca 1695 roku komisarz generalny OO. Kapucynów O. Franciszek ab Aretio, przybywa do Krakowa z listem polecającym od króla do biskupa krakowskiego Małachowskiego, w sprawie założenia klasztoru w tem mieście. Nabyto w tym celu od rajcy miejskiego Kantellego ogród przy dzisiejszej ulicy Loretańskiej, za sumę 9 tys. 362 złp. i rozpoczęto budowę klasztoru i kościoła z hojnych datków jakie posypały się na ten cel. — I tak Wojciech Dębiński złożył na budowę kościoła sumę 2 tysiące złp., starosta krakowski Wielopolski 1 tys. złp., Straszewski 3 tys. złp., wojewoda sandomierski Warszycki 1 tys. złp., królowa Marja Kazimiera 16 tys. złp. Gdy rozpoczęto budowę kościoła pierwszy ofiarodawca, chorąży zatorski, Wojciech Dębiński zobowiązał się pokryć wszystkie związane z nią koszta, toteż OO. Kapucyni uważają go za właściwego fundatora. Budowę prowadził Marcin Pelegrini. Konsekracji dokonano dnia 15 maja 1703 roku. Kościół stanął pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Marji Panny.

Dalsze dzieje kościoła i klasztoru zawierają kilka ciekawych wydarzeń, które zakończyły się dla niego szczęśliwie, jak twierdzi kronika klasztorna, dzięki opiece Tej, pod której wezwaniem kościół wzniesiono. W latach 1707 do 1710 szalała w Krakowie morowa zaraza, której ofiarą padło około 30 tysięcy mieszkańców. Nie było ani jednego domu, do którego nie zawitałaby śmierć: w klasztorze OO. Kapucynów przebywało wówczas 17 zakonników i żaden z nich nie chorował. W czasie Konfederacji barskiej, gdy wszystkie przedmieścia Krakowa zostały przez Moskali spustoszone, jeden jedyny klasztor OO. Kapucynów został nietknięty, mimo, że był położony poza murami miasta. Podobnie ocalała siedziba OO. Kapucynów wraz z kościołem w r. 1794 przy zdobywaniu Krakowa przez Moskali i Prusaków i podczas wielkiego pożaru w r. 1850.

W kościele tym odbyła się, jak już wspomniano na początku, 24. III. 1794 r. uroczystość poświęcenia pałasza Kościuszki. W 26 lat wcześniej, to znaczy w r. 1768 miało tu miejsce inne wydarzenie. 12 sierpnia tego roku wpadli nagle Moskale na chór kościelny i znieważyli czynnie zebranych na modlitwie mnichów, zabierając dwóch z pośród nich ze sobą. W tym samym dniu Moskale zabili tuż przed bramą kościoła 12 ludzi, w tem trzech Konfederatów barskich. OO. Kapucyni, którzy sprzyjali Konfederacji, pochowali poległych w miejscu gdzie padli. Razem z Konfederatami pogrzebano we wspólnej mogile zamordowanych również przez Moskali dwóch 11-letnich chłopczyków, dwóch włościan, jednego mieszczanina krakowskiego, jednego stróża miejskiego, oraz trzech zabitych, o nieznanem nazwisku, jak mówi kronika klasztorna. Na wspólnej mogile wznieśli zakonnicy krzyż drewniany, który przetrwał do dziś dnia. — Dawniej było w Krakowie trzy mogiły Konfederatów barskich. Niestety, po dwóch z nich ślad nawet zaginął. Ostała się ta tylko, którą opiekowali się i do dziś dnia opiekują OO. Kapucyni.

Zwiedzający kościół podążają zwykle ku niemu od strony plant, krótką ulicą zwaną Kapucyńską. Na progu tej ulicy, na środku jezdni, zwraca uwagę wznosząca się na około 4 metrowej kolumnie piękna barokowa figura Królowej Korony Polskiej. Kronika klasztorna mówi, że 2 września 1795 roku, na miejscu gdzie dzisiaj figura Matki Boskiej, postawiono na marmurowej kolumnie nową statuę św. Franciszka, w miejsce starej zniszczonej, stojącej na tej samej kolumnie przez lat 45. Ta nowa statua św. Franciszka wykonana została przez rzeźbiarza Gallę, z tak lichego materjału, że już w dwa lata później w r. 1797 popękała. Owczesny gwardjan O. Marceli dowiedziawszy się, — jak mówi kronika, — że przed bramą kościoła Marjackiego znajduje się statua Matki Boskiej, pięknej roboty i że statua ta zostanie z przed kościoła usunięta, ozdabio bowiem bramę cmentarza, który okalał wówczas kościoła usunięta, ozdabia bowiem bramę ma ulec rozbiórce, podjął starania w kierunku zdobycia tej figury. W owym czasie nadarzyła się ku temu sposobność, gdyż przeznaczony na rozbiórkę mur wraz z bramami postanowiono sprzedać na licytacji. OO. Kapucyni skorzystali z okazji i nabyli figurę za złp. 6. Figura ta liczyła już wówczas lat 70. Gdy ojcowie Kapucyni weszli w posiadanie figury podniósł swe pretensje do niej Prałat kościoła Marjackiego. Sprawa oparła się o sąd, który przyznał figurę OO. Kapucynom, a ci ustawili ją na nowej kolumnie, w miejsce gdzie dawniej stała figura św. Franciszka.

Tak przedstawia historję pięknej figury, witającej przechodnia u progu ulicy prowadzącej ku kościołowi OO. Kapucynów, kronika tego klasztoru. Inaczej nieco oświetlają ją inne źródła.

Sam kościół niewielki jest i nader skromny, stosownie do surowej reguły zakonu. Wejścia do niego strzegą kamienne postacie Matki Boskiej Loretańskiej i św. Jana Nepomucena. — Jeszcze przed wejściem do kościoła,— co jest dla niego charakterystyczne, — spotykamy pamiątki, po tych, którzy w najkrytyczniejszych chwilach Rzeczypospolitej ratowali honor Polski. Pierwszą z pośród nich jest kolumna z urną Piotra Świderskiego, pułkownika Legji Nadwiślańskiej, który walczył pod Kościuszką i Dąbrowskim. W kruchcie pomnik wystawiony dla generała J. Wodzickiego, poległego w roku 1794, w boju pod Szczekacinami; następnie tablica wielkiego patrjoty Wł. Jabłonowskiego i wiele innych. A dalj w nawie głównej tuż nad drzwiami pomnik dla Władysława R..wicza, syna bankiera, który cały majątek oddał sprawie narodowej, powieszonego przez Moskali w r. 1863 w Siedliskach, przed oknami rodzinnego domu. Marmurowe wspomnienie po Leonie Rzewuskim, poległym w 1831 w bitwie z Moskalami pod Daszowem, brązowe popiersie sybiraka Wł. Krajewskiego i wiele innych nagrobków i tablic. Są wśród nich wspomnienia po fundatorach i osobach dla kościoła i klasztoru zasłużonych, przeważnie jednak pamiątki po ludziach, którzy swe siły, majątek i życie poświecili sprawie narodowej. Ściany kościoła OO. Kapucynów to marmurowy skrót historyczny tych czasów nieszczęsnych, w których wielcy i możni przeszedłszy do obozów Targowicy zrzucali z siebie trud ratowania ojczyzny na barki maluczkich. To też wśród nazwisk wyrytych na tablicach i nagrobkach w kościele OO. Kapucynów niema imion wielkich i sławnych.

Dostojnie w tym skromnym kościółku, wśród drogich pamiątek, wyglądają ołtarze św. Kajetana, z pięknym obrazem pędzla Piotra Dandini, ołtarz św. Feliksa, patrona dzieci. W wielkim ołtarzu obraz Zwiastowania N. Marji Panny. Po stronie Ewangelji znajduje się jedna jeszcze pamiątka naszych walk o niepodległość. 15 sierpnia 1768 roku, w czasie bitwy Konfederatów z Moskalami, wpadła do kościoła kula armatnia, nie wyrządzając żadnej szkody. Wmurowano ją w miejscu, w którem spadła, to znaczy koło ołtarzy po stronie Ewangelji. Z innych ołtarzy zasługuje na uwagę ołtarz w bocznej kapliczce z cudownym krucyfiksem.

Z kruchty kościelnej na prawo prowadzą drzwi do korytarza, okalającego kaplicę Loretańską. Kaplica ta luźnie związana architektonicznie z kościołem, budowana była później od niego w latach 1712 do 1719 przez budowniczego Bażankę. W tej kaplicy odbyło się poświęcenie oręża Kościuszki. Na pamiątkę tego wydarzenia w setną rocznicę umieszczono na zewnętrznej



Kaplica loretańska przy kościele OO. Kapucynów (na prawo) i fragment kościoła (na lewo). Na pierwszym planie krzyż na mogile Konfederatów Barskich.



Tablica pamiątkowa na ścianie kaplicy loretańskiej przy kościele OO. Kapucynów w Krakowie z napisem nast. treści: „W tej kaplicy dnia 24 marca 1794 roku Tadeusz Kościuszko w towarzystwie generała Józefa Wodzickiego złożył do poświęcenia pałasz, którego dobył w obronie wolności Narodu polskiego. Wierni synowie ojczyzny w setną rocznicę pomnik ten położyli".

Fot. Aleksander Kołek Kraków

stronie ściany kaplicy, od strony ulicy tablicę z odpowiednim napisem. W kaplicy Loretańskiej zwraca uwagę Cyborium wykonane z biurka Jana III Sobieskiego.

Zwiedzenie cichego i skromnego kościółka OO. Kapucynów pozostawia niezatarte wrażenie. Zwiedzający, który zada sobie trud odczytania zacierających się z czasem napisów na licznych tablicach i nagrobkach, pokrywających ściany kościoła, mimowoli biegnie myślą ku tym czasom nieszczęsnym, z których tyle wspomnień nagromadzono w jednej świątyni.

W okresie Wielkiej Nocy fala zwiedzających kościół OO. Kapucynów wzrasta. Podąża ku podwojom tej świątyni cały Kraków, by pomodlić się u Bożego Grobu, który w żadnym z kościołów krakowskich nie jest przystrojony tak wielką ilością kwiatów, wyhodowanych przez zakonników w cieplarni własnego ogrodu, jak u OO Kapucynów.

Al. K.

Pamiątka po księgach sybilińskich

Przed 50 laty mniej więcej złożono w muzeum Neapolu trzy wielkie bloki marmuru, pokryte płaskorzeźbami, a swego czasu stanowiące część muru w Arcivescovadok. Sorrento. Obecnie prof. Gulio E. Rizzo dowiódł, że pochodzą one z kaplicy zbudowanej przez cesarza Augusta w roku 12 przed Chr. Pomiędzy 12 postaciami które przedstawia płaskorzeźba, figuruje i sam August jako **Pontifex Maximus** (najwyższy kapłan). Kaplica była poświęcona bogini Weście, opiekunce ogniska domowego, a służyła do przechowywania słynnych ksiąg sybilińskich, które August jako najwyższy dostojnik „duchowny" zbadał i uznał za autentyczne. Zawierały one proroctwa, rzekomo bardzo ważne dla państwa rzymskiego. Pochodziły z zamierzchłych czasów i Liwjusz opowiada, że przyniosła je królowi Tarkwinjuszowi Sybilla Kumejska żądając za dziewięć ksiąg olbrzymiej sumy. Gdy król oświadczył, że cena jest za wysoka Sybilla rzuciła w ogień trzy, a za pozostałe dalej domagała się tej samej ceny. Spaliła później dalsze trzy, a król pod wrażeniem tego zapłacił za ostatnie trzy tyle, ile kosztowały pierwotnie wszystkie. Księgi zaginęły bez śladu. Archeologowie dawno przypuszczali, że owe bloki marmurowe mają z niemi jakiś związek, ale rzecz ustalono ponad wszelką wątpliwość dopiero obecnie.

Z WYDAWNICTW

Z. Kossak Szczucka: Pątniczym szlakiem

Każda książka Kossak Szczuckiej, witana jest przez czytającą publiczność z radością, w tem przeświadczeniu, że cokolwiek wyjdzie z pod jej pióra będzie napisane nietylko z prawdziwym talentem, ale i opracowane z doskonałą znajomością przedmiotu.

Książka p. t. „Pątniczym szlakiem" to opis podróży do Ziemi Świętej. Od czasu, kiedy nieznany bliżej pątnik z Galiji pierwszy opisał wrażenia ze swej pielgrzymki w r. 333, upłynęło szesnaście wieków i setki tysięcy ludzi odbyło podróż w rozmaitych warunkach. Między pielgrzymem wędrującym z tykwą na wodę, o kiju pątniczym, a dzisiejszym podróżującym, zaopatrzonym w znaczek Francopolu — wielka różnica. Ale ten sam cel i te same drogi...

Opis podróży morskiej, a zwłaszcza wyspy Rhodos, z cudowną roślinnością i wspaniałemi gmachami z czasów, gdy wyspa była siedzibą rycerzy zakonnych Joanitów — bardzo zajmujący. — Niezmiernie barwne opisy Aleksandrji, Kairu a zwłaszcza piramid przenoszą czytelnika w te krainy, pełne tajemniczych zabytków odległej przeszłości, wobec których staje się jak przed zagadką, niemożliwą do rozwiązania.

W Kairze znajduje się półtora tysiąca meczetów, które jednak mało są odwiedzane przez wiernych. Mahometanin jest fatalistą — hołduje zasadzie że: co ma być, niech będzie — więc po cóż się modlić

Część Kairu zamieszkała przez Koptów jest mniej efektowna ale posiada Muzeum Koptyjskie, piękne jak baśń Wschodu, zawierające prastare obrazy, sprzęty, papirusy z IV w. ozdoby wykonywane nieznaną dziś sztuką, witraże z barwionych kryształów. Kościół datujący się z III wieku, jeden z najstarszych w Chrześcijaństwie, porównać można do przedziwnej szkatuły z hebanu i kości słoniowej, ale zgromadzeni wierni zachowują się podobnie do przekupniów, których Chrystus wypędził ze świątyni jerozolimskiej.

Wjazd do Azji odbywa się prawie bez nowych wrażeń, bo widoki nie zmieniają się: tu i tam pustynia, aż do Idumei. Tu już ziemia urodzajna, gaje pomarańczowe, a na pagórkach kolonje żydowskie, przypominające polskie folwarki. Roślinność niebawem znika ukazują się nędzne wioski arabskie. To Judea.

Stara Jerozolima, w przeciwieństwie do nowej ze wspaniałemi hotelami nie różni się prawie od tych czasów, gdy Chrystus tam żył i nauczał. Sposób budowania pozostał ten sam i podróżnik zatraca miarę czasu, lecz równocześnie nie może pojąć, dlaczego tu tyle rzeczy wygląda inaczej, niżeli czytał w starych księ-



gach? Odpowiedź nietrudna: stało się tak z powodu podniesienia się gruntu o kilkanaście metrów. Grunt narósł warstwą ruin. Na starożydowskich powstały budowle rzymskie na rzymskich starochrześcijańskie, wreszcie „krzyżowcowe" a potem dzisiejsze, arabskie. Nikt się nie troszczył o uprzątanie gruzów. Dziedziniec twierdzy Antonia na którym stał Chrystus, gdy był sądzony przez Piłata, został odkryty przy naprawie piwnicy klasztoru Panien Syjońskich. Wszystko tam jeszcze tak, jak było wtedy i wrażenie jest niezapomniane. Do Wieczernika, który, stał się pierwszym kościołem chrześcijańskim, dostęp dla chrześcijan jest dozwolony za drogą opłatą, ale tylko do kraty żelaznej, po za którą nie wolno wejść „niewiernym" bo panami są tu muzułmanie.

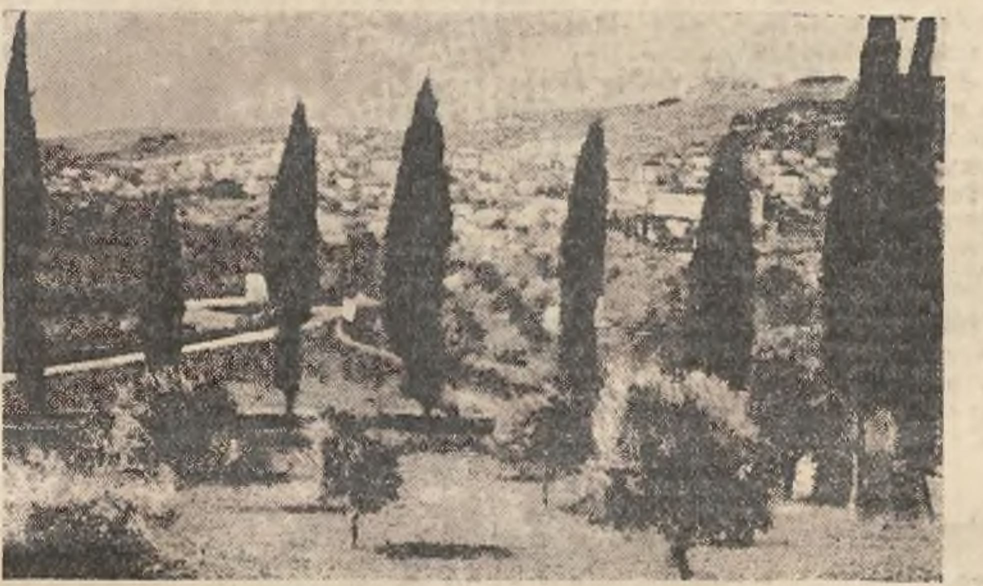
Wybudowany przez rycerzy krzyżowych wspaniały kościół Grobu Świętego, strzeżony przez braci zakonu św. Franciszka, — został zniszczony pożarem w 1808 r. Nie było komu myśleć o odbudowie w czasie wojen napoleońskich — wreszcie odbudowują go prawosławni, starając się zatrzeć pierwotny zarys rdzennie romański, oraz pamiątki po krzyżowcach. Jedno popsuli, drugiego nie wykończyli i tak jest do dziś. Jeruzalem w ręku chrześcijan, ale klucze od Bazyliki dzierżą muzułmanie i za wstęp do niej drogo się płaci. Kościoł wewnątrz źle utrzymany, a ozdoby przypominające wnętrze prawosławnej cerkwi. Nie należy patrzeć, tylko wsunąć się na kolanach do Grobu, bo to przecież ten sam, choć wyzłocony, a u wezgłowia stoi kudłaty mnich grecki na straży. — Golgota, obniżona znowu znacznie wskutek wzniesienia się okolicznego terenu, robi równie bolesne wrażenie. Wszędzie dowody zaniedbania, lub zeszpecenia obrażające uczucia wiernych. Kościół Narodzenia zbudowany przez cesarzową Helenę, ocalał prawie jedynie z budowanych prze nią świątyń, ale przedstawia się jako bezładny konglomerat budowli i również oddany jest prawosławnym, którzy ozdobili wnętrze poswojemu, nie starając się usunąć brudu i śladów opuszczenia. Chciałoby się widzieć grotę w Betleem, jaką była gdy Matka Najświętsza położyła w niej Dzieciątko, niestety, wyklejono ją czerwonym aksamitem, ale cóż robić? jest przecież ta sama...

Niezmiernie ciekawą pamiątkę stanowi kościół wybudowany w Emaus przez Godfryda de Bouillon. Zamieniony po bitwie pod Hattin, przez wojska Saladyna na stajnię wielbłądów, powoli pokrywał się mchem, piaskiem, głazami i zamienił się we wzgórze, które porosło drzewami. Odkopano go w ciągu kilkunastu lat ostatnich i okazało się, że jest wcale dobrze zachowany. W tym kraju tylko to zostało uratowane, co skryła ziemia.

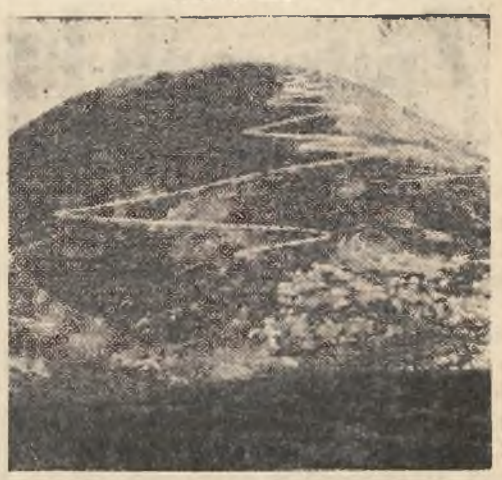
Wycieczka do Morza Martwego po przez pustynię Judzką, tchnie grozą. Kamienne wzgórza leżą tak bezładnie i chaotycznie, jakby przez wieki kipiała i zastygała tu lawa. Roślinność jest niezmiernie uboga, za to istnieją warzelnie soli i jakiś Zakład Kąpielowy. Woda ma smak wstrętny, jest gęsta i kleista, bo zawiera 24 procent soli.

W naszej wyobraźni Jordan musi być rzeką piękną jak Ren, a przynajmniej Wisła — w rzeczywistości jest błotnisty i węższy od Warty, ale tu dokonała się jedna z wielkich tajemnic? Sadzawka Betsaidy istnieje do dziś, a na ścianach krużganka, w trzydziestu ośmiu językach powtarzają się słowa V. rozdziału Ewangelji św. Jana o chrzcie Pana Jezusa.

Polaków w Jerozolimie jest niewielu — Istnieje przecież Dom Polski i Polak zakonnik odprawia w małej kapliczce, Mszę św. Wśród naszej kolonji jest artysta malarz Tadeusz Rychter, poświęcający się badaniom archeologicznym.



Nazaret. Ogólny widok



Góra Tabor

Po bolesnych wrażeniach pobytu w Judei, wycieczka do Galilei rozwesela i podnosi duchowo. Dolina najżyźniejsza na świecie — Nazaret, gdzie Chrystus spędził życie w domu Rodziców „i był posłuszny". — Piękna bazylika zbudowana na górze Tabor przez OO. Franciszkanów, ukończona głównie dzięki ofiarności katolików amerykańskich, cała z białego marmuru, a pośród splendoru mozaiki prosty ołtarz, z kościoła, który tu istniał niegdyś.

Podróżni przyglądają się z upodobaniem harmonijnemu obrazowi, jaki tworzą kobiety, niosące na głowie gliniane amfory, śliczne te naczynia, są powoli wypierane przez kwadratowe blaszanki z benzyny, z napisem Mobiloil. — Cywilizacja wypycha kulturę.

Z Kafarnaum, nie pozostało nic, oprócz ruin sławnej synagogi, której zniszczenie Chrystus przepowiedział. I nikt jej nie odbuduje, bo gdy próbowali to uczynić Anglicy, śmiertelne wypadki, jakie zaszły przy budowie, przerwały dalszą pracę.

Powrót pielgrzymki, sytej wrażeń, ale przygnębionej widokiem zaniedbania i zniszczenia, tylu najświętszych pamiątek — odbywa się na rumuńskim okręcie Dacja. Po drodze zwiedzono Akropolis — wspaniałe szczątki dawnej świetności, niszczone w ciągu wieków. Wielkie szkody wyrządzili w XVII. wieku Wenecjanie lord Elgin wywiózł najcenniejsze zabytki do Londynu — było też wielu innych drapieżców, ale mury Partenonu, choć ogołocone z rzeźb Fidjaszowych, stoją i żyje uwielbienie dla nieśmiertelnego piękna Gracji. Następny postój w Stambule.

Najcenniejszym zabytkiem jest tu dawny kościół św. Zofji, zeszpecony czterema minaretami, ale zawsze przedziwnie piękny. Angielskie Towarzystwo archeologiczne otrzymało pozwolenie odkrycia mozaik z pod warstwy tynku i roboty są w toku. Wnętrze to ósmy cud świata.

Do kraju powrócono przez Rumunję.

Leontyna Paygertowa.

Radjo wymaga umiejętnej reżyserji

Radjo, która codziennie przemawia tak niemal bezpośrednio do słuchaczy, jak ich najlepszy znajomy, otoczone jest jeszcze w świadomości wielu osób zasłoną niezgłębionej tajemnicy. Nie chodzi tu o techniczne zasady działania radja, te bowiem wymagają żmudnych studjów i specjalnych uzdolnień, ale o znajomość owych specyficznych i odrębnych warunków, w jakich tworzą się artystyczne wartości radjofonji.

Teatr, z którym oswoiliśmy się już dawno, rozporządza całą skomplikowaną maszynerję do wywoływania wrażeń. Maszyny te niejednokrotnie śmiesznie prymitywne uzupełniają grę aktorów. Wschody i zachody słońca, noce księżycowe, chmury, burze, błyskawice, pioruny, deszcz, śnieg, falujące morze i wiele, wiele innych rzeczy potrafią „zrobić" w teatrze tak dobrze, że widz zapomina o całej sztuczności widowiska i poddaje się w całości urokowi sztuki. W jeszcze większym stopniu operuje maszynerjami złudzeń kino. Fotografja pozwala na stosowanie takiej masy tricków, że widz zupełnie zatraca możliwość odróżnienia tego, co było fotografowane z natury, a co jest tylko zręcznie zastosowaną dekoracją.

Trudno zajmować się w krótkim artykule wszystkimi rodzajami tricków kinowych i teatralnych. Samo wyliczenie ich zajęłoby zbyt dużo miejsca. Zresztą są one przeważnie zawodową tajemnicą reżyserów, którzy na umiejętności wykorzystania tricków porobili karjery i majątki. Chodzi nam o inną rzecz o wykazanie, że każda nowa dziedzina sztuki wymaga nowych wynalazków w tej dziedzinie.

Dopóki radjo ograniczało się do nadawania muzyki i do transmisji odczytów sytuacja była prosta i nieskomplikowana. Dawało się przed orkiestrą mikrofon i przy stoliku prelegenta mikrofon — i koniec. Czy się utwór lub odczyt podobał, czy zrobił pożądane wrażenie to już jest rzecz artyzmu wykonawców lub zdolności mówcy.

Z chwilą gdy radjo przystąpiło do transmisji całych przedstawień teatralnych, oper, operetek, rewij, a zwłaszcza z chwilą gdy samo zaczęło u siebie organizować takie przedstawienia (które później nazwano słuchowiskami) sytuacja zmieniła się gruntownie. Proste zainstalowanie mikrofonu już nie wystarczyło, w operze musi się ustawić solistów, by ich widoku nie zasłaniali statyści, musi umieć wyznaczyć każdemu z grających miejsce na scenie odpowiednie do roli, którą kreuje, musi umieć ułożyć piękny i logiczny obraz.

Reżyser teatralny musi być przynajmniej trochę plastykiem. Nawet w operze, nawet w operetce, gdzie przecież wszystko zależy od muzyki i śpiewów, ugrupowanie postaci na scenie, zestrojenie ich z tłem dekoracyj, umiejętne wyzyskanie planów pierwszych i dalszych dla podkreślenia stopnia scenicznej hierarchji działających osób, waży bardzo poważnie na całości przedstawienia i świadczy bądź o umiejętności bądź o niedołęstwie reżysera. Widz bardzo chętnie poddaje się urokowi piękna, które płynie ze sceny, ale dopiero wówczas, gdy ułatwi mu to zręczny reżyser. Skomponowanie logicznego wyglądu sceny w każdej sekundzie przedstawienia jest nie mniej ważne od samej pracy autora.

Reżyser radjowy jest w położeniu odmiennem. Musi zapomnieć o oczach widza i o oczach swych własnych. Nie plastyka ale akustyka jest dla niego ostateczną wyrocznią. Obrazy muszą rysować mu się jako harmonja dźwięków, a nie jako wzajemne dopełnianie się lub kontrastowanie plam barwnych i kształtów. Wszystko co jest ciałem musi zniknąć, przepraszam nie zniknąć, ale zamienić się w dźwięk tak zróżnicowany, aby oddawał dokładnie wrażenia kształtu, który reprezentuje.

Misterjum reżyserskiej roboty w radjo jest ciekawe. Dużo tu tricków i dużo pomysłowych podstępów. Studja przeważnie są przestarzałe, reżyser musi więc uzupełniać ich techniczne braki własną pomysłowością.

Poprawia się akustykę studja zbliżaniem i oddalaniem od mikrofonu wykonawców, rożni się efekty akustyczne najrozmaitszemi przyrządami, używa się płyt gramofonowych z nagranym szumem morza z pędzącym pociągiem, naśladuje się szczekanie psa czy bek owcy i wiele wiele innych rzeczy.

Reżyser radjowy musi mieć wiele taktu. Często bardzo wielcy aktorzy sceniczni nie posiadają warunków do występowania przed mikrofonem. Trzeba wpierw wypróbować ich głos. I wtedy aktorzy obrażają się. Przecież tyle lat pracują w teatrze mają takie dobre recenzje... Zapominają, że mikrofon rządzi się swemi odrębnemi prawami, że czasem głos zupełnie niemożliwy na scenie wychodzi radjofonicznie, a europejskiej sławy śpiewak jest zupełnie w radjo nie do słuchania. (f.)

Zmierzch historyków wiktorjańskich

Jedną z cech charakterystycznych okresu wiktorjańskiego było zadowolenie z siebie. Widzi się to i na polu historji. Niewiele jest dzieł, pisanych z taką pewnością, że zna się całą prawdę i że się ją oświetla z jedynie słusznego punktu widzenia, jak w „Historji angielskiej od wstąpienia na tron Jakóba II" Macaulay'a lub „Rewolucja francuska", „Cromwell" czy „Fryderyk II" Carlyle'a. Zupełnie podobne objawy można obserwować u mniejszych historyków, n. p. u Froude'a.

Froude pierwszy uległ druzgocącej krytyce opartej na ściślejszych i większą sumiennością nacechowanych metodach naukowych. Zaczęło się od polemiki o sposób wydania „Wspomnień" Carlyle'a, ale po jakimś czasie wzięto się i do oryginalnych prac Froude'a, zaczęło kontrolować jeko źródła i wykryto, że popełnił cały szereg nieuczciwości ad maiorem gloriam — twórców Kościoła anglikańskiego, Henryka VIII i Elżbiety.

Przyszła jednak kolej i na owych dwóch większych historyków, których pisma — jeżeli idzie o Carlyle'a, także filozoficzne, a jeżeli idzie o Macaulay'a, także historycznoliterackie — czytano przez długie lata, jakby ewangelję. Pokazuje się, że ta nadzwyczajna popularność i to nadzwyczajne zaufanie wynikało nietyle z samej treści dzieł, ile z dwóch innych przyczyn — z olbrzymiej pewności siebie, jaką okazywali Carlyle i Macaulay, oraz ze świetnych rzeczywiście zalet stylistycznych.

Być może, iż wrażenie potęgowało się jeszcze wskutek wyraźnego przeciwieństwa stylu. Carlyle był typowym romantykiem — wybuchał oburzeniem, wpadał w liryzm, to znów krył swe myśli pod pytaniami retorycznemi i wykrzyknikami. Zwięzły, namiętny, apodyktyczny, umiał czytelnika wprowadzać w nastrój i suggestjonować.

Tosamo osiągał Macaulay swemi zgoła odmiennemi środkami. Dbał zawsze o jasność, o dociągnięcie myśli, ilustrował każdy wypadek przykładami i cytatami, figur używał wedle wzorów starożytnych. Był typowym klasykiem. Ale pod jego klasyczną szatą kryła się taka sama nieomylność, jak u Carlyle'a.

Toczący się przeciw nim proces jest dziś już dość daleko posunięty. Nie myślę kreślić jego historji, przystępuję odrazu do wypadków ostatnich.

Złożyło się tak, że wyszły w Londynie prawie równocześnie dwie książki, ilustrujące stanowisko, jakie dzisiejsza historjografia i historja literatury zajmują wobec Carlyle'a i Macaulay'a. Jedna jest świeżo napisana, druga to tylko przedruk z przed lat ośmdziesięciu.

Rzecz ciekawa, że Nietzsche, na którego kult nadludzki niewątpliwie wywarł pewien wpływ Carlyle swym kultem bohaterów, określił swego ideowego poprzednika surowo, ale trafnie jako „angielskiego ateistę, który zdobył sławę przez ustawiczne powtarzanie, że nie jest ateistą". Jak wiadomo, Carlyle wychował się w atmosferze szkockiego kalwinizmu, ale bardzo wcześnie utracił wiarę. Doprowadziło to do paradoksalnych skutków, gdyż występował ustawicznie jako prorok Boga, ale najprawdopodobniej nie uznawał nadal Jego istnienia. Mówi wprawdzie w poświęconym swej ewolucji duchowej sławnym Sartor Resartus o przełomowym momencie, ale, używając alegorji, nie jest jasny (może umyślnie), zresztą, jak zobaczymy, traktuje zagadkę bytu raczej negatywnie, niż pozytywnie. Pisze dla społeczeństwa chrześcijańskiego i — przynajmniej zewnętrznie — przywiązującego wielką wagę do religji, a jest co najwyżej deistą, i to może tylko wahającym się i nieszczerym. Stąd wewnętrzne rozdźwięki w jego dziełach, dla współczesnych, oszołomionych płomienną wymową niedostrzegalne, dla nas niewątpliwe.

Mówiąc wciąż o Bogu, a nie bardzo wierząc w Niego, Carlyle — zgodnie zresztą z kalwinistycznemi tradycjami — mniej myśli o ideale, w imię którego „walczy z Szatanem na ziemi", a więcej o walce, o Szatanie i o wszystkiem, co wydaje mu się dziełem Szatana. Dochodzi ostatecznie do maksymy „siła przed prawem" (a raczej może „siła jest prawem"). Stąd gloryfikacja rozbiorów Polski i zaboru Alzacji i Lotaryngji; oburzenie na reformę więzień angielskich (może najokropniejszych w owym czasie w Europie); obrona potwornych okrucieństw, jakich dopuścił się jeden z gubernatorów Jamajki; apoteoza działalności Cromwella razem z rzezią Droghedy; hasło polityki silnej ręki w nieszczęsnej Irlandji (z której cierpień Carlyle doskonale zdaje sobie sprawę, wzruszając się nawet przy tej sposobności); kult Fryderyka II; postulat, aby Anglją rządzili „wodzowie przemysłu" (Captains of Industry) i wielcy właściciele ziemscy (mimo współczucia dla klas niższych, z których sam Carlyle wyszedł, i rozpaczliwego ich położenia w czasach dotyczących broszur).

Profesor H. J. C. Grierson w dziełku „Carlyle i Hitler" (Carlyle and Hitler, Cambridge University Press, 1934) wyraża nagół te same myśli, które tu krótko ująłem, tylko łagodniej i z większem umiarkowaniem, bardziej też wierzy w szczerość ustępu, przedstawiającego zwrot Carlyle'a ku Bogu. Z tem wszystkiem jednak wykazuje bardzo wyraźnie wewnętrzne sprzeczności jego filozofji i historjografji, kładzie też nacisk na upajanie się słowami i na kaznodziejską pozę — przy częstym braku pozytywnej treści.

Macaulay'owi rzucił był już rękawicę znany polityk Winston Churchill. Uczynił to w obronie pamięci swego przodka księcia Marlborough. Jak już miałem sposobność zaznaczyć na tem samem miejscu, nie sądzę, aby życie największego wodza angielskiego można było zupełnie oczyścić z plam, jakie pozostawiła chciwość i dwulicowość polityczna. Nie wierzę jednak również, aby Macaulay zasługiwał na piętno świadomego fałszerza faktów. Natomiast był on niewątpliwie złym krytykiem źródeł i kierował się uprzedzeniami, zdarzało się też, że stylizował wypadki i charaktery dla uzyskania efektownych przeciwstawień.

Już po wyjściu drugiego tomu „Historji angielskiej" Macaulay'a wystąpił John Paget z surową krytyką. Wytknął szereg błędów, i to nie gołosłownie, gdyż oparł się na źródłowych studjach. W szczególności stwierdził, że Macaulay wyrządził krzywdę księciu Marlborough, dzielnemu szkockiemu rojaliście z czasów ostatnich Stuartów, Grahamowi z Claverhouse oraz założycielowi Pensylwanji, kwakrowi Williamowi Pennowi. W jednym wypadku miał bezkrytycznie uwierzyć podejrzanemu źródłu, mianowicie relacji człowieka osobiście zainteresowanego, w drugim pójść za agitacyjnemi broszurami wigów, w trzecim bez uzasadnienia utożsamić Penna z innym człowiekiem tego samego imienia i nazwiska, który był oszustem.

Paget gruntownie przestudjował swój materjał, a pisał żywo i barwnie. Był wybitnym adwokatem, ale na terenie historji stawiał pierwsze kroki. W życiu politycznem brał udział, ale porzuciwszy partję liberalną, a pozostawszy przy zasadach liberalnych, nie miał dużo przyjaciół. Wyzwał zaś na udeptaną ziemię Macaulay'a — byłego członka Rady zarządzającej Indjami, byłego ministra i uznaną wielkość literacką. To też wystąpienie jego przeszło bez wrażenia. Od samego Macaulay'a dostał tylko wzgardliwą, gołosłowną (a błędną) odpowiedź w jednej z poruszonych kwestyj.

Dopiero obecnie ukazał się przedruk szkiców Pageta (The New Examen, London, Haworth Press, 1934). Przedmowę napisał nie kto inny, tylko Winston Churchill, który najwidoczniej uznał, że w swej kampanji przeciw Macaulay'owi znalazł w zmarłym dawno Pagecie cennego sprzymierzeńca.

Władysław Tarnawski

MILETA JAKSZIC (Jugosławja)

Poeta i poezja

Nie oraj gwałtem po serca niwie!
Niema li kwiatu?—więc czekać trzeba
chowaj zalążek w piersiach troskliwie,
jak pszenne ziarno rodzalna gleba.
Jeśli Bóg zechciał byś rajskie kwiecie
wypielęgnował kiedyś na świecie,
to kwiatów rajskich zarodnia żywa
napewno w sercu twojem się skrywa.
Więc czekaj tylko, wyzbyj się troski,
aż cię powoła ogrodnik Boski:
On pośle tobie ducha zdaleka
by kwiat rozwinął... Trawka nie rośnie
zimową porą, lecz słońca czeka.
A gdy nad tobą genjusz miłośnie
wzleci i złotem skrzydłem powionie
i na twej piersi położy dłonie. —
pączek się zbudzi, — w jednej godzinie
w kwiat się rozwinie!...

przełożył KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Spadek produkcji fortepianów w Niemczech

Niemcy mogły przed wojną być dumne ze swej produkcji fortepjanów. Przy bardzo dobrej jakości imponowała i ilość. W roku 1913 sfabrykowano 13.000 sztuk. W roku 1933 cyfra ta skurczyła się do jednej dziewiątej. Kino, gramofon i radjo stanowią groźną konkurencję dla fortepianu.

BOLESŁAW EUSTACHIEWICZ

Tak chciała ona?...

„Rzecz możliwa, że dotychczas nie odkryto naturalnych sił, działających w dziedzinie telepatji czy jasnowidzenia: możliwe jednakże, że działają tu siły nadnaturalne: rozwiązanie tego problemu trzeba pozostawić przyszłym pokoleniom."

Kardynał Mercier.

Śmiertelne znużenie opadło na rowy strzeleckie. Natężenie ognia nie malało. Szum, trzask pękających granatów, odpryski skał, monotonne dziobanie karabinów maszynowych ogłupiało do reszty życie ludzkie, wciśnięte w kawerny i jamy. Ciężko, bardzo ciężko dźwigał żołnierz powieki. Szesnastogodzinny szturm armatni zrobił swoje. Wyczerpanie było zupełne.

Kapral Wied człapał za innymi. Nie ustraszony, obowiązkowy dobywał ostatek swych sił i woli, aby prestiżowi swej szarży i zdobytej sławy nie przynieść wstydu.

Dobry towarzysz, ludzki, jak mógł oszczędzał drugich. Jego rozrzutna młodość starczyła mu na tyle, aby drugim pomagać.

Ciężko odpływała gnojna fala ludzka.

Zmęczenie, beznadziejność, upiorna rezygnacja przylgnęły do bark i butów żołnierskich i szły z nimi w tył na kwaterę.

Kapral Wied nie poddawał się. Wyraźnym półgłosem podpędzał i zachęcał do wydostania się z kretowiska pozycyjnego. Jego natomiast samego podpędzało pragnienie dostania się do poczty polowej, aby mógł, jak codzień, wysłać list w dalekie strony.

Na kwaterze zrzucił rynsztunek i miast odpocząć puścił wodze swoim myślom, które poszybowały ponad skałami i dalekiemi przestrzeniami tam, — skąd pochodził. Oczy, które nie widziały pobliża — zastygły w bezruchu. Po chwili rozłożył papier i zaczął szybko pisać.

— Wied, padło raptem od progu zawołanie.

— Rozkaz! panie poruczniku. — Wied sprężył się służbowo przed swoim przełożonym.

— Dzisiejszy ogień świadczy, że zaczynają nas bliżej macać. Wielu nam ubyło?

— Dziesięciu. Przeważnie od odprysków skalnych.

— Najgorsze! Nastrój?

— Psi, panie poruczniku.

— Zbliża się rozstrzygnięcie.

— Dla niejednego — zauważył Wied.

— Mówię o decydującem uderzeniu. W związku z tem dowództwo poleciło zrobić głęboki wywiad. Trzeba wymacać gniazda karabinów maszynowych, stanowiska obserwatorów. Wybór padł na was i na porucznika Wilka, jako najbardziej obeznanych z sytuacją.

— Kiedy? — zapytał krótko Wied.

— Jutro, godzina czwarta nad ranem. Po bliższe rozkazy zgłosicie się w komendzie. Los nasz leży w ręku porucznika Wilka i waszem. Adio.

— Rozkaz!

Misja była zaszczytna lecz niebezpieczna. Wied momentalnie zdał sobie sprawę z powagi takiego wyboru... W myśli przebiegł szybko, co było za nim. Przyszłość była ciemna — odgradzał ją od chwili dzisiejszej — rozkaz, który zarazem neutralizował wszelki krytycyzm. Dyscyplina była tym środkiem narkotyzującym, tym bodźcem, który hamował wszelką wolną wolę.

— List, jeszcze tylko list, który za wszelką cenę musi dzisiaj odejść — przypomniał sobie Wied.

To była druga konieczność, która zrównywała się z rozkazem i którą Wied spełniał codziennie. Pokonywał wszelkie trudności, używał sprytu i wybiegów, aby tylko jego list codziennie odszedł. Wiedziano o tem w oddziele.

— Wied, znowu poczta? Czy sądzicie, że wszystkie wasze listy dochodzą? — zagadywano niekiedy Wieda.

— Dlaczegożby nie? odpowiadał spokojnie Wied.

— Dlatego, że nie odbieracie odpowiedzi.

Wied wzruszył na to ramionami. Jakkolwiek nie odbierał odpowiedzi, był jednak pewny, że listy dochodzą i są czytane.

Teraz, kiedy chwila decydująca spadła na niego — tembardziej odczuł potrzebę swego serca. Widział jasno, że coś niezwykłego święci się na froncie. Podsunięto bowiem bliżej pozycji punkta opatrunkowe. Wied, doświadczony zmiarkował, że rozpocznie się taniec szaleńczego ryzyka. Postanowił działać. List, który rozpoczął pisać przy akompanjamencie wyjących granatów, a skończył na kwaterze, nie dawał mu spokoju.

Poczta odległa była parę kilometrów. Czasu pozostawało bardzo mało. Zaryzykował. Poszedł do schronu do wachmistrza, z którym się przyjaźnił z prośbą o konie.

— Panie wachmistrzu, mam ważny interes! Muszę być w miasteczku.

— Pewnie na pocztę? Ledwie zejdziecie z pozycji — już myślicie o poczcie. Jak raz nie dostanie, to jeszcze was nie porzuci. Dajcie i poczcie wypocząć.

— Dzisiaj muszę być! Dostałem specjalne rozkazy. Dajcie mi konia — prosił Wied i tak spojrzał na wachmistrza, że temu dziwnie się jakoś zrobiło koło serca.

— Bierzcie, — rzucił krótko wachmistrz.

Wied wnet osiadłał konia, wyprowadził na wolną przestrzeń i puścił się w stronę odległego miasteczka.

Z trudem musiał przedzierać się przez ciżbę napływających rezerw i przez niezliczoną ilość dowożonej na gwałt amunicji.

Dotarł jednak wreszcie do miejsca przeznaczenia i spostrzegł, że trud jego był daremny. Pocztę bowiem polową przeniesiono w inne, niewiadome locum. Wie

Niemiecka propaganda radjowa

Radjo jest dziś największą po prasie potęgą propagandową. Wszystkie rządy — z tych czy innych powodów uważają za stosowne wpływać na społeczeństwo w duchu pewnej ideologji, wciągnęły radjo do tej służby i uczyniły zeń precyzyjnie działający instrument. Dawniej byliśmy świadkami wielkiej propagandy radjowej stosowanej przez Moskwę. Obecnie przyszła kolej na Niemcy „Trzeciej Rzeszy".

Rząd Hitlera prześcignął zdaje się bolszewików w propagandowej akcji radjowej. Zdaje się, że dużo jest w tem zjawisku temperamentu Goebbelsa, ministra propagandy.

W Zeesen pod Berlinem uruchomiono wielką stację nadawczą krótkofalową, której zadaniem jest rozpowszechnianie „niemieckiego słowa, niemieckiej muzyki i niemieckiego obyczaju" po całej kuli ziemskiej. Trzeba przyznać, że zarówno organizacja techniczna stacji, jak i organizacja programowa jest bez zarzutu. Trzy anteny wypromieniowują fale radjowe w trzech kierunkac. Jedna nadaje do Północnej Ameryki, druga do Południowej Afryki, trzecia do Południowej Ameryki i na Daleki Azjatycki Wschód. Oczywiście tylko pozornie wydaje się że Południowa Ameryka i Daleki Wschód leżą w dwu różnych kierunkach. W rzeczywistości obie te części świata są na końcach jednej prostej, w środku której leży Berlin.

Stacja radjowa w Zeesen składa się właściwie z dwu odrębnych stacyj radjowych. Jedną stację wybudowała firma Telefunken w sierpniu 1929 r., drugą firma Lorentz przed rokiem. Obie stacje początkowo służyły celom handlowym, utrzymywały mianowicie komunikacje tele-radjofoniczną ze wszystkiemi częściami świata, a dopiero ostatnio użyte zostały do celów propagandowych. Ze szczegółów technicznych warto przytoczyć że anteny kierunkowe stacji w Zeesen mają kształt siatek zawieszonych na 70-metrowej wysokości. Wypromieniowują one z siebie cienkie snopy fal radjowych prostopadle do płaszczyzny anteny. Między dwiema wieżami radjowemi jest około 96 małych anten, gdyż od ilości anten zależy ścisłość kierunku wysyłanych fal.

Praca stacji w Zeesen zaczyna się o godz. 14.00. Od tej godziny aż do godz. 17.00 nadaje się program dla Azji. Program ten obejmuje audycje w języku niemieckim i angielskim i słyszalny jest np. w Szanghaj umiędzy godz. 21.00 a 24.00 z powodu różnicy czasu miejscowego między Berlinem a Szanghajem. Od godz. 18.45 zaczyna się program dla Afryki, ściśle biorąc dla dawnych niemieckich terytorjów kolonjalnych. Afrykańskie audycje są również nadawane w dwu językach: niemieckim i angielskim, przyczem program obejmuje również i odpowiednio spreparowane wiadomości prasowe. Ponieważ Afryka leży na tym samym południku co Europa Srodkowa, Niemcy afrykańscy słyszą swoje audycje z Berlina w tym samym czasie w którym są one nadawane.

Trzeci pas fal krótkich wysyłanych z Zeesen obsługuje słuchaczy południowo-amerykańskich, a więc Argentyńczyków i Brazylijczyków. Dla tych krajów pracuje stacja od godz. 23.00 do godz. 1.30. Trzy i półgodzinny program częściowo w języku hiszpańskim, częściowo zaś w języku niemieckim odbierany jest w ołudniowej Ameryce między godz. 18.00 a 20.30. W o ileż lepszem położeniu są niemieccy koloniści w Brazylji od Polaków. Jedni słyszą codziennie audycje w ojczystym języku, choćby mieszkali w głębi dziewiczych puszcz, drudzy zaś często są pozbawieni książki polskiej i polskiego nauczyciela.

Od godz. 2.00 do 5.00 nad ranem nadaje się audycje dla Ameryki Północnej, która słyszy je między godz. 20.00 a 23.00. Audycje amerykańskie wyróżniają się swym poziomem od audycyj przeznaczonych dla innych części świata. Prowadzi się tu specjalną skrzynkę pocztową radjową, która utrzymuje bezpośredni kontakt ze słuchaczami amerykańskimi, odpowiadając na ich listy, wątpliwości, zapytani, a zawsze z odpowiedniem oświetleniem zagadnień z punktu widzenia interesów niemieckich. Pozatem dużo czasu poświęca się muzyce i audycjom prasowym, które mają swoją charaketrystyczną nazwę „niemiecka obsługa prasowa dla Ameryki". Ze specjalnych tematów wybranych z programu radjowego w jednym tygodniu wymienić można np. odczyt „Niemiecka kobieta w ojczyźnie i na świecie", „Niemiecka młodzież na całym świecie", Niemiecka młodzież w Afryce", „Peruwiański dziennikarz L. Divizia opowiada o swojej pracy i o swych wrażeniach z hitlerowskich Niemiec", „Przegląd ciekawszych audycyj radjowych w Niemczech", „Utwory niemiecko-brazylijskiej poetki Marji Menony", „Afrykańscy Niemcy wracają do ojczyzny. Wspomnienia reemigranta z przed 15-tu laty", „Niemiecka moda i niemieckie modele strojów kobiecych" i t. d.

Jak z tego zestawienia widać program jest na niemiecki sposób „urozmaicony". Trudno w tej chwili zorjentować się czy ta propaganda jest istotnie celowa i czy audycje te znajdują rzeczywiście na świecie taki posłuch, jak Niemcy piszą. Niewątpliwie jednak faktem jest, że są one wielkim atutem w dziedzinie... propagandy wewnętrznej.

F. P.

Ze świata książki

Pearl Buck: „Błogosławiona ziemia" (wyd. „Rój", Warszawa 1934). Abstrahując od mniej lub więcej prawdopodobnych legend osnutych dokoła osoby autorki, których celem (jak każdej „robionej" legendy) jest reklama i obudzenie żywszego zainteresowania) — stwierdzić trzeba objektywnie, że P. Buck dala powieść dobrą, o nieprzeciętnej wartości artystycznej, wolną od wszelkiej ckliwej czułostkowości i manjery, tak zabójczej dla powieści „egzotycznych".

Powieść ta dowodzi, że autorka umiała podpatrzeć i poznała gruntownie duszę dzisiejszego Chińczyka, poznała wszystkie odrębności kultury i struktury społecznej tak djametralnie różnej od pojęć Europejczyka. A tematu do swych obserwacyj nie szukała w pałacach mandarynów, ani w wielkich miastach portowych, rojących się od międzynarodowych białych przemysłowców i handlarzy.

Bohaterem „Błogosławionej ziemi" jest prosty chłop chiński nie umiejący czytać ni pisać, wiodący ciężki, pracowity żywot na zapadłej prowincji, żyjący tem prymitywnem jeszcze niemal życiem jego dziadów i pradziadów. Chłop, którego jedynem umiłowaniem jest ziemia ta ziemia, z której wyszli i do której wrócić będą musieli ta ziemia będąca ich siłą i jedynem, najpewniejszem oparciem.

Na tym jednym punkcie — fanatyczne przywiązanie do ziemi rodzimej — chłop chiński jest rodzonym bratem i chłopa naszego i chłopów w każdym innym kraju na całej kuli ziemskiej.

Bo pozatem posiada on rozmaite inne — dodatnie i ujemne cechy, będące wypadkową i odrębnej kultury i wiary i odrębnej mentalności i zupełnie specyficznych stosunków politycznych i ekonomicznych. Cechy te potrafiła autorka podkreślić i uwypuklić z dużym realizmem i zupełną objektywnością, co poczytać jej należy za wielką zasługę.

Na karb tej właśnie swoistej mentalności chłopa chińskiego położyć należy takie epizody, jak np. zrabowanie pałacu bogacza podczas rozruchów, jak wreszcie dokonywującą się stopniowo w duszy bohatera powieści ewolucja pojęć, — gdy on, nędzny, biedny parjas dorabia się dużego majątku (niezupełnie legalną drogą) i zamienia się w bogacza, zajmując pałac znienawidzonego ongi magnata.

I nie zdziwiłoby nas, gdyby za kilka czy kilkanaście lat bohater powieści Wang-Lung, został zkolei wyrzucony ze swego pałacu przez innego nędzarza, który podobnie, własną pracą i przemyślnością, dorobił się majątku. Zwłaszcza, że już synowie Wang-Lunga myślą o sprzedaży ziemi, tej ziemi, która ojcu ich była najpewniejszą ostoją w jego walce życiowej.

„Błogosławiona ziemia" jest powieścią ciekawą, a tembardziej wartościową, że pozwala nam wglądnąć w życie, obyczaje i wierzenia ludu chińskiego. (k. r.)

Dr. M. Ziemnowicz: Szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych A. P. (Biblj. Pedag. Dydakt. T. XII.). Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa 1934 str. 391. **Dr. M. Ziemnowicz: Nauczanie i wychowanie w Stanach Zjednoczonych A. P.** (Biblj. Pedag. Dydakt. T. XIII.) Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa 1934 str. 138.

Autor wprowadza nas w świat wychowania amerykańskiego, które poznał dzięki dłuższemu pobytowi na ziemi amerykańskiej i studjum na najsławniejszym amerykańskim uniwersytecie pedagogicznym Teachers College Columbia University, New York. Obie książki uzupełniają się, chociaż każda z nich stanowi dla siebie zamkniętą całość.

„Szkolnictwo" jest obszernem i wyczerpującem studjum nad ustrojem szkolnictwa amerykańskiego. Autor wskazuje, że tkwiło ono korzeniami swemi w tradycji europejskiej, że jednak pod wpływem dynamiki życia amerykańskiego zmieniło się i zróżniczkowało, aby wreszcie dojść do takiego stopnia organizacyjnego, który imponuje teraz Europie. Ziemnowicz zakreśla bardzo szerokie ramy szkolnictwa i stara się ująć je nietylko w najwyraźniejszych typach, szkole elementarnej i średniej, ale wciąga w swe rozważania szkolnictwo zawodowe i wyższe, a nawet oświatę pozaszkolną, starając się wzbudzić w nas przekonanie, że wychowanie jest najważniejszą troską społeczeństwa amerykańskiego i że przez wychowanie społeczeństwa spodziewa się znaleźć rozwiązanie wszelkich trudności społecznych.

„Nauczanie i wychowanie" jest jakby pogłębieniem wywodów ustrojowych, daje tło teoretyczne i przedstawia filozofję wychowania amerykańskiego. Krótki rys historji nauk pedagogicznych, które od tak niedawna stały się nauką, daje nam wyobrażenie o tym ogromie pracy, którego dokonali Dewey, Therndike, James, Judd, Kilpatrick, i in. Na tle tej pracy przedstawia nam Ziemnowicz wspólne psychologiczne podłoże różnych metod nauczania, ilustrując przykładami ich stosowanie.

Z całej książki tchnie pragnienie, aby poszanowanie człowieka i cenienie wartości osobistej, które cechują wychowanie amerykańskie, znalazły większy naciek i u nas. Ponadto autor nie namawia do naśladownictwa form, przeciwnie, stara się wszczepić zaufanie do sił własnych i własnej inicjatywy. Tem różni się od innych popularyzatorów amerykańskiej literatury.

---

da porwała znagła za czub głowy złość wielka. Drżał cały. Właśnie teraz, w ostatniej może jego godzinie — zabrano pocztę. Trzeba było jednak działać. Ochłonął więc z gniewu i rozpoczął gorączkowe poszukiwanie, kogoś ktoby list w etapie doręczył. Przeciskając się z trudem przez nagromadzone w olbrzymiej masie wszystkie nieomal rodzaje broni, auta, furgony, dotarł do szpitala, skąd właśnie wywożono ciężej rannych, na tyły, w głąb kraju. Odnalazł znajomka, Zamienił parę słów i uzyskał zgodę, — lecz kiedy sięgnął do kieszeni po list nie znalazł go. Złe przeczucie targnęło nim. Na napisanie nowego listu nie było czasu. Musiał wracać na pozycję. Dyscyplina wzięła górę. Powlókł się z powrotem. Już późno było, kiedy Wied znalazł się u początku linji bojowej.

Ciemność rozlała się niemal lepką masą, po której raz wraz jak błędne ognie na bagnie pełzały światełka. To znów reflektory rozcinały ciemność w błyskawicznym rzucie szerokiego, oślepiającego miecza światła. Rakiety jak ogniste gwoździe mbijały się w czarne wieko schmurzonego nieba.

Odstawiwszy konia, Wied skierował się w stronę komendy. Tu zameldował o otrzymanym rozkazie, dowiedział się, gdzie ma się stawić i jakie ma zadanie do spełnienia. Następnie udał się na swoją kwaterę.

Czsau pozostawało bardzo mało. Przy ogarku opatrzył rewolwer, poskładał obok posłania ręczne granaty, spakował rzeczy, na których zostawił dokładny adres.

— Godzina czwarta — myśl ta świdrowała w mózgu uparcie, a zarazem wywoływała jakieś znieczulenie.

Jak stał rzucił się na legowisko. Tyle jeszcze miał sił, że porozpinał kołnierz i bluzę i już spał.

Jak długo, nie wiedział.

Nagle coś go poderwało z posłania. Siadł momentalnie na łóżku i rozszerzone oczy wbił w próg kwatery. Drzwi stały otworem, a w drzwiach — znajoma postać. W zwyczajnej domowej sukni, przy fartuszku, widział ją wyraźnie jak na dłoni. Mimo to przetarł oczy i aż się pochylił, a z wrażenia serce w piersiach zamarło. Postać stała łagodna cicha, w aureoli siwych bujnych włosów i zdawała się przyzywać Wieda do siebie.

Najwyraźniej w świecie słyszał jak mówiła:

— Synku! Nie idź dziś tam — za front. Nie idź. Ja proszę — ja tak chcę!

Słowa dźwięczały dziwnie wnikliwą i przejmującą melodją.

Wied drżał, jakby z zimnej wyszedł kąpieli.

Otwierał usta i nie mógł słowa wypowiedzieć.

— Pójdź! — szepnęła zjawa.

Wied z zapatrzenia ocknął się i postąpił ku drzwiom. Postać cofnęła się za próg. Wied wkrótce również znalazł się na dworze. Jak zaklęty szedł teraz przed siebie, wciąż przed siebie, jakby prowadzony przez tajemne siły zatrzymał się dopiero przed tablicą, która oznaczała punkt opatrunkowy. Chwilę się wahał. Pchnięty jednak niewidzialną mocą znalazł się przed obliczem dyżurującego lekarza, który drzemał w krześle. Na skrzyp butów otworzył zmęczone oczy i zapytał:

— Czego?

— Jestem kapral Wied. —

— Ranny?

— Nie.

— Z czyjego rozkazu?

— Melduję posłusznie — tak chciała ona! — wyrzucił ze siebie Wied.

Lekarz spojrzał uważnie na wyprostowanego kaprala.

— Jaka ona?

Wied milczał. Lekarzy przystąpił bliżej do niego. Ujął jego głowę w obie ręce i przyglądał się oczom Wieda, które patrzyły wciąż nieruchomo przed siebie. Lekarz ściągnął jedną powiekę i drugą, zbadał puls i pokiwał dziwnie głową. Znał kaprala jako dzielnego i nieustraszonego żołnierza, o którym sobie inni dziwy opowiadali. Jego męstwo ryzykanckie było znane w sztabach, toteż ani na chwilę nie przypuścił, aby Wied bawił się w „markieranta".

— Wied rozbierzcie się, muszę was zbadać.

A kiedy ten ostatni nie ruszał się z miejsca, a tylko coraz większa bladość pokrywała mu policzki, lekarz sam przystąpił do kaprala W tym momencie Wied zachwiał się, a podtrzymany przez lekarza wybełkotał.

— Czwarta godzina, wywiad, rozkaz — i runął zemdlony.

Lekarz natychmiast przywołał do pomocy sanitarjuszy, którzy podnieśli Wieda i ułożyli go na szpitalnym łóżku. Lekarz domyślił się z porwanych słów, o co chodzi, napisał więc meldunek i pchnął ordynansa do komendy. Minęło dobrych chwil parę, kiedy zjawił się dowódca z kilkoma oficerami, aby naocznie przekonać się, co się stało z Wiedem. Wypytywano szczegółowo jak i co przydarzyło się Wiedowi. Wreszcie zażądano stanowczo od lekarza, ażeby wydał świadectwo zdrowia dla Wieda, który musi spełnić włożone nań zadanie. Lekarz oparł się jednak temu kategorycznie i Wied został w szpitalu.

— — — — —

O czwartej godzinie nad ranem przepełzły dwa cienie przez linję bojową. Dziwna się cisza posiała na froncie. To piekło zamilkło przed wściekłym skokiem na znieczulone przerażeniem życia ludzkie.

Raptem z daleka dobiegł przeciągły jęk jeden i drugi, a za chwilę rozbrzmiała groźna kanonada i sabat nieomal czarci rozpoczął swój straszny makabryczny śmiertelny taniec.

Góry trupów zaległy zbocza gór i przez długie długie dnie przesyłały w niebo swój rozkładczy zabójczo-cuchnący protest przeciwko strasznemu szaleństwu na ziemi...

Wied ocalał — bo tak chciała ona!?

Marzeec 1934 r.

Z życia studentów w Ameryce

Wybrańcy losu, którzy zwiedzili wystawę światową w Chicago w ubiegłym roku, dużo mówią o rzucającej się w oczy ekscentryczności Aemrykanów.

Studenci amerykańscy uchodzą za bardzo ekscentrycznych. Tylko ta ich ekscentryczność często ma głębsze podłoże, czasami powoduje ją bieda i konieczność.

Jak przeciętny biedny student europejski mniej chodzi, ażeby zaszanować buty, tak nawet najbiedniejszy student amerykański to samo musi robić — tylko trochę inaczej.

Sposób ten my nazywamy ekscentrycznym.

Żeby zaszanować buty (jeżeli nie mieszka na terenie Uniwersytetu) i zaoszczędzić opłaty na tramwaj, taki student zmuszony jest utrzymywać własne... auto. Po tem aucie i płaszczu nieprzemakalnym poznaje się każdego niezamożnego studenta.

Auto, płaszcz nieprzemakalny, fajeczka i guma do żucia są jego nieodstępnymi towarzyszami. Najbardziej oklejony afiszami cyrkowemi parkan nie ma tak barwnego i niesamowitego wyglądu, jak te studenckie auta i płaszcze nieprzemakalne.

Takie auto (marki bywają różne, ale przeważa Ford z 1920 r.) już na pierwszy rzut oka wygląda malowniczo na wspaniałych bulwarach, na których mija się ze lśniącemi limuzynami i pięknemi, jak cacka autami sportowemi. Student, który się nie urodził się „ze srebrną łyżką w ustach" musi być i jest zadowolony ze swego gruchotu.

Kupuje się Forda, używanego ponad 5 lat, byle z dobrym motorem. Najczęściej brak jednych drzwiczek, maszyna jest niekryta i nie ma latarń ani szkła. Cena — 5 dolarów.

Później kupuje się conajmniej 10 puszek farb do malowania, każda w innym kolorze, co wynosi pół dolara, głośną błyszczącą trąbkę za 50 ct. — i całe auto z koniecznemi wymaganemi przez kodeks karny dodatkami wychodzi najwyżej na 10 dolarów. Najmilszem i najbardziej emocjonującem zajęciem dla każdego studenta jest malowanie auta. Czy przyszły as futbalowy, czy zwykły śmiertelnik — każdy robi to własnoręcznie. Poświęciwszy poranek niedzielny, ubiera się w stare osmarowane overalle (żeby matka przypadkiem nie wypędziła do kościoła) i przed domem przy pomocy kolegów i asyście gapiów zaczyna się robota. Co trzy to nie jedna głowa i co sześć to nie dwie ręce. Maluje się front auta w barwach danego uniwersytetu, jedną połowę na żółto, drugą na bordo, później na żółtej połowie, jeśli student jest członkiem Alphachi, zielony wieniec, a na połowie bordo białego gołębia. Teraz kolej na koła. Każde koło otrzymuje kolory klubów, do których należy właściciel, drzwi i boki auta są przeważnie w jednym kolorze. Przeważa zawsze kanarkowy, który się najlepiej nadaje na tło, bo przecież to jeszcze nie koniec. Tęczowy płaszcz auta pokrywa się rozmaitemi dowcipami, autografami, karykaturami i rysunkami.

„Girlie have a lift" (dziewczę przejedź się) — ten zapraszający napis czyta się prawie na każdem aucie, którego właścicielem jest mężczyzna.

Ponieważ podatki są bardzo małe benzyna tania, licencję można uzyskać po dwunastym roku życia, auto kosztuje studenta dziesięć razy taniej, aniżeli zniżka tramwajowa, bo przeważnie po dwóch kolegów ponosi wspólnie koszta.

Płaszcz nieprzemakalny jednak każdy ma własny — są one już w jednym tonie, jasnoczerwone, zielone, niebieskie, ale ponieważ żółty jest najlepszem tłem na rozmaite dowcipy i napisy, cieszy się największą popularnością wśród studenterji.

Studentka amerykańska nazywa się od wyrazu **Coeducation** koedką (coś, jak u nas koleżanka). Koedki są popularne i stanowią — po gwiazdach filmowych — drugą wyrocznię mody.

Moda panująca na campusie (teren uniwersytecki) króluje wśród wszystkich podlotków, panienek sklepowych i uczennic szkół średnich. Nawet te uczenice przychodzą na wykłady — mocno uszminkowane, w jedwabiach i satynach, w skróconych sukniach balowych swych starszych sióstr, nasze dziewczynki w mundurkach wyglądają więc dość szaro.

Pomimo pozorów i powierzchownej ekscentryczności życie studentów amerykańskich jest bardzo cnotliwe. Brzmi to niewiarygodnie, ale w istocie tak jest.

Fair play jest jednem z głównych przykazań, nietylko w teorji, ale właśnie w praktyce. Student amerykański kocha bardzo swoje uczelnie i potrafi walczyć o honor swych barw. Wystarcza jeden niehonorowy postępek, aby się stać zupełnie izolowanym na przeciąg całego dalszego pobytu na uniwersytecie.

Przypuśćmy, że dwóch najserdeczniejszych przyjaciół, sidząc obok siebie na egzaminie, opracowuje ten sam temat i jeden z nich nie potrafi rozwiązać danego zadania. Książki podczas egzaminów ma się przy sobie.

A przecie byłoby największem przestępstwem przyjąć rozwiązanie zadania od kolegi lub zajrzeć do książki.

W razie udowodnienia czegoś podobnego, sąd koleżeński bywa niezmiernie surowy. Następuje wydalenie z klubu a jeżeli przewinienie zaszło przy głównym egzaminie, z uczelni. (Uniwersytety w Ameryce prowadzone są na wzór naszych średnich szkół. Każdy profesor na każdym wykładzie sprawdza listę obecnych, a zbyt częsta nieobecność uniemożliwia zdawanie egzaminu.)

Zależnie od egzaminów, które odbywają się trzy razy w każdym semestrze, student uzyskuje stopień. Jeżeli ktoś przepadł w którymś z poprzednich, może to nadrobić na kursie wakacyjnym, a jeśli ma się dobrą notę z wszystkich przedmiotów, dopuszczonym się jest na kurs wakacyjny na 2 przedmioty główne a 2 nadobowiązkowe, co w nowym roku szkolnym posuwa studenta o semestr wyżej i zamiast w 5. do 6 lat uzyskuje się dyplom po trzech lub czterech.

Dużo mówi się u nas o niższym poziomie amerykańskiego wykształcenia. Jest w tem dużo racji, jeżeli się weźmie pod uwagę amerykańskiego studenta — ogólny poziom intelektualny będzie równy poziomowi naszego absolwenta gimnazjalnego. Powodem tego jest, że Amerykanie specjalizują się przważnie w jednym kierunku.

Ktoś może być świetnym technikiem a nie mieć pojęcia, gdzie jest Zatoka Biskajska. Kto ma zamiar zostać lekarzem, ten już w gimnazjum zapisuje się na Wydział Generals Science lub na farmację. Kto nie ma ochoty chodzić na ten kurs ogólny nauk ścisłych, a marzy o karjerze giełdowej, zapisuje się na Kurs Handlowy również już w Gimnazjum. Jednem słowem każdy już w szkole średniej uczy się najwięcej przedmiotów, mających coś wspólnego z jego przyszłym zawodem. Amerykanie bardzo wcześnie myślą o swej przyszłości.

Wielu twierdzi, że na ich uniwersytetach dominuje sport. Przecież biedni Amerykanie muszą coś mieć! Europejskiego studenta bawi polityka, amerykański student mało się nią zajmuje i bardzo słabo orjentuje się w polityce europejskiej, a swoją własną zajmuje się na miesiąc przed wyborami, kiedy do butonierki wsadza miniaturowy portret na szpilce, kandydata partji, z którą jest związany jego Old Man (ojciec).

Dziwna rzecz, że poglądy polityczne są tam najczęściej dziedziczne. Zamiast walczyć pałkami studenci zakładają się między sobą po dolarze, który kandydat zwycięży.

Obojętne zresztą, o co zakład — czy o przyszłego prezydenta, czy o dobrą klacz arabską, wszystko jedno, by'e wygrać. Każdy ma swoje **„Hobby"**.

U nas wre i kipi polityka, prądy antyżydowskie, a studenci amerykańscy mają tylko swoje mecze baseballowe i footballowe.

W sezonach meczów footballowych często niema wykładów. Rektorat ich nie zawiesza, ale to się robi samo automatycznie. Jeżeli odbywa się między dwoma uniwersytetami, jedna połowa studentów jedzie na mecz do sąsiedniego miasta, a druga połowa, rozporządzając skromniejszemi środkami, pozostaje w domu i słucha wyników przez radjo.

Przeważnie, aby móc zajmować się sportem, student musi mieć dobre postępy ze wszystkich przedmiotów. Ale gdy raz stanie się gwiazdą, stara się utrzymać ten zaszczytny, dużo obiecujący tytuł i zaniedbuje wszystko inne. Jest pewny siebie, bo wszyscy są za nim, profesorowie patrzą na wyniki jego pracy przez palce i w rzeczywistości jakoś kończy studja. Jeżeli jest przystojny, może śmiało zostać aktorem filmowym z gażą sto razy wyższą od płacy swego profesora.

Dużo zależy od reklamy.

Amerykanie nie uchodzą za sentymentalnych, ale wystarczy, aby najbardziej nieczuły i obojętny na ludzką niedolę **businessman** spotkał gdzieś w biedzie absolwenta tej samej uczelni, pójdzie za nim w piekło, a gdy usłyszy hymn swego uniwersytetu, nawet przez radjo stają mu łzy w oczach.

Choćby w danej chwili zajęty był największemi nawet transakcjami handlowemi, zjawi się zawsze na Zjeździe Koleżeńskim swej Alma Mater.

Dziwni są ci Amerykanie, lecz w gruncie rzeczy nie tyle dziwni, ile praktyczni.

Emilja Klemalówna

Teatr rumuński

W epoce rumuńskiego odrodzenia, z początkiem minionego wieku, teatr rumuński służył przedewszystkiem propagandzie narodowych rewindykacyj. Dlatego też poświęcano specjalną uwagę wszelkim manifestacjom sztuki dramatycznej, pamiętając zawsze, że teatr jest nie samem tylko miejscem rozrywki, lecz propagatorem nowych idei.

Naród rumuński, biorący od niedawna stosunkowo intenzywny udział w światowym ruchu umysłowym i kulturalnym, może poszczycić się pięknemi sukcesami również i na polu sztuki dramatycznej. Na czele kroczy tu Ion Luca Caragiale, artysta, naturalista, satyryk, który w epoce, gdy większość autorów dramatycznych uprawiała przedewszystkiem dramat historyczny lub romantyczny — wzbogacił repertuar rumuński potężnemi dziełami, o znakomitej konstrukcji. Do dziś dnia też Caragiale (zmarły w r. 1912) uchodzi za największego dramaturga rumuńskiego.

* * *

Jakkolwiek społeczeństwo rumuńskie bardzo szybko zasmakowało w teatrze — i jakkolwiek już przed wojną poszczególne prowincje posiadały swoje własne teatry narodowe (Jassy, Craiova), to jednak całe życie teatralne koncentrowało się zawsze w Bukareszcie, gdzie też teatr doszedł do pełnego, najwyższego rozkwitu.

Teatr rumuński rozwijał się za poparciem rządu i publiczności; o jakiejś inicjatywie prywatnej nigdy prawie mowy nie było. Piękną postacią z lat przedwojennych był bezwątpienia Aleksander Devilla, arystokrata, dyplomata, urodzony miłośnik teatru.

Devilla (zmarły w r. 1929) odmłodził w swoim czasie zupełnie repertuar, oswobodzając go z melodramatu, wodewilu i dramatu romantycznego. (Nawiasem mówiąc Devilla jest sam autorem najlepszego dotychczas dramatu historycznego wierszem: „Vlaicu-Vida").

Dzięki niemu zdobywa sobie stopniowo prawo obywatelstwa w Rumunji francuski dramat salonowy i komedja bulwarowa.

* * *

Dopiero po wojnie teatr rumuński poczyna zajmować się żywiej aktualnemi problemami sztuki dramatycznej, zarówno o ile idzie o samą technikę twórczości jak i o inscenizację.

W repertuarze teatru bukaresztańskiego zjawiają się dzieła najwybitniejszych dramaturgów współczesnych: Strindberga, Hoffmannsthala, Shawa, a dramat ibsenowski zdobywa coraz więcej miejsca. W ślad za tem i inne teatry poświęcają większą uwagę twórczości najnowszej. Teatr „Regina Maria", kierowany przez pierwszorzędnych artystów, wystawia wszystkie nowości obcych scen, interpretując je na swój sposób, oryginalny i nowy, przy zupełnie współczesnej inscenizacji.

Równocześnie wzrasta rodzima twórczość dramatyczna. Próbuje się najrozmaitszych formułek: sztuki fantastyczne, dramaty liryczne, realistyczne ekspresjonizm, feerje, nawet dramat historyczny. Dominuje jednak dramat psychologiczny.

* * *

Cechą charakterystyczną społeczeństwa rumuńskiego jest pewna nerwowość, dająca się porównać z nerwowością publiczności francuskiej i włoskiej, wobec dzieł o wątpliwej konstrukcji technicznej. Taż sama publiczność jednak okazuje bardzo żywe zainteresowanie dla autorów, którzy w ramach swych dzieł zajmują się ogólnoludzkiemi, doniosłemi zagadnieniami. Tem się tłómaczy powodzenie sztuk np. Bernarda Shawa w Rumunji.

Taksamo i Szekspir stał się już oddawna ulubieńcem publiczności rumuńskiej, a Teatr Narodowy w Bukareszcie wprowadził do swego stałego repertuaru niemal wszystkie dzieła wielkiego angielskiego dramaturga.

Naogół publiczność rumuńska, a zwłaszcza bukaresztańska, przyzwyczajona już do doborowych spektaklów, jest bardzo wymagająca. Sprawdza sumiennie prawdziwe walory każdego dzieła, decydując o jego sukcesie lub niepowodzeniu.

W świecie artystów dramatycznych istnieje niezaprzeczenie pewna tradycja, co jest może jedną z najoryginalniejszych cech teatru rumuńskiego. — Tradycja ta ma swoje początki w zetknięciu się aktora z dramatem rumuńskim, w szczególności z teatrem Caragiale'go Dzisiaj mało się już widuje na scenie interpretatorów tego teatru. Ale młodzi artyści przejęli od tamtych tradycję autentycznego stylu rumuńskiego, tego stylu, który obserwować można zawsze, ilekroć aktor rumuński ma do czynienia z wartościową sztuką narodowego pisarza.

Jak wszędzie, tak i w Rumunji, film, zwłaszcza film dźwiękowy, pociągnął za sobą upadek teatru, mimo bardzo żywej działalności twórczej ze strony takich organizacyj jak Towarzystwo pisarzy, Syndykaty zawodowe i t. p.

Można jednak mieć nadzieję, że sztuka żywego słowa odniesie wkońcu tryumf, że teatr rumuński, mogący się już poszczycić pięknemi wynikami w ciągu swej stosunkowo krótkiej egzystencji, będzie miał do zapisania niejedną jeszcze piękną kartę zarówno w dziale sztuki dramatycznej jak i w inscenizacji.

Wystarczy wymienić kilku dzisiejszych najwybitniejszych twórców, jak: Victor Eftimiu, pisarz niesłychanie płodny i wszechstronny, Gib Mihalescu, autor potężnego dramatu „Pawilon cieni“, Adrian Maniu, którego sztuka „Stalowe wilki“ zyskała w ubiegłym roku wspaniałe powodzenie, Victor Ion Popa, oryginalny reżyser i dramaturg, G. Ciprian, którego sztuka „Człowiek ze szkapą“ miała duże powodzenie w Berlinie, i inni.

I. M. Sadoveanu
generalny dyrektor Teatrów rumuńskich.

Co to jest przeziębienie?

Przeziębienie w rozumieniu szerszego ogółu oznacza głównie katary nosa, gardła, tchawicy, których szczególnie łatwo dostaje się na wiosnę i w jesieni w związku z częstemi i znacznemi wahaniami temperatury. Takie rozumienie nie daje ścisłego określenia istoty tego zjawiska, gdyż ograniczając je do katarów górnych dróg oddechowych, tem samem znacznie ogranicza ilość spraw chorobowych, w powstawaniu których przeziębienie gra rolę; ponadto takie pojmowanie przeziębienia przez ogół wynika jak zobaczymy dalej, z utożsamiania i nieodróżniania dwu zjawisk, z których jedno — działanie zimna gra rolę czynnika ułatwiającego powstanie drugiego — właściwej choroby.

Przeziębienie nie jest chorobą, lecz tylko czynnikiem chorobotwórczym — szkodliwem działaniem zimna na ustrój, które tylko w pewnych warunkach wywołuje w organiźmie zmiany, sprzyjające wystąpieniu choroby. Działanie zimna jest wogóle szkodliwe dla ustroju.

Po pierwsze wpływa ono **bezpośrednio** na ustrój: 1) **hamuje** jego **procesy życiowe** i ostatecznie powodując obniżenie ciepłoty ustroju, która zależnie od stopnia może prowadzić nawet aż do śmierci. 2) Działa na **aparat nerwowy**, wywołuje zaburzenia w jego czynnościach: ból głowy, porażenie nerwów (np. n. twarzowy), nerwobóle, porażenia nerwów naczynioruchowych itp.

To drugie działanie **pośrednie** na ustrój ujawnia się pod postacią wyzwolenia akcji życiowej świata bakterjalnego normalnie gnieżdżącego się w organiźmie (błony śluzowej, górnych dróg oddech., jamy ustnej, gardła...), czyhającego na każdą okazję, by rozwinąć swą szkodliwą działalność. Zimno stwarza przez osłabienie odporności organizmu na zakażenie (porażenie fagocytów, zmniejszenie się ilości subtsancji ochronnych działających bakterjobójczo, łuszczenie się nabłonka błon śluzowych...) sprzyjające warunki dla rozwoju bakterji i stąd wystąpienia danej choroby. Z chorób tych niektóre są wywołane przez bakterje swoiste (np. włóknikowe zapalenie płuc, grypa), inne zaś jak katar nosa, zapalenie gardła, katar krtani, oskrzeli — wywołują bakterje nieswoiste.

Ustrój broni się przed tem wielostronnem szkodliwem działaniem zimna przez tzw. regulację cieplną: Przedewszystkiem zmniejsza się utrata ciepła, co uzyskuje się przez zwężenie naczyń skórnych, — jest to pierwszy objaw akcji obronnej organizmu. Równocześnie ze skurczem naczyń skórnych rozszerzają się naczynia narządów wewnętrznych (płuc, wątroby, serca) i mięśni szkieletowych.

Gdy ta akcja obronna nie wystarcza dla utrzymania temperatury ciała w granicach normalnych, — wtedy ustrój oprócz zmniejszenia utraty ciepła, zaczyna ponadto zwiększać produkcję ciepła, a to przez pracę mięśni, których napięcie i pobudliwość wzrasta pod wpływem miernego zimna, — co objawia się jako ruchy dowolne lub jako drżenie. Stwierdzono, że gdy mięśnie spoczywają, a więc nie wytwarzają znacznej ilości ciepła, to organizm jednak pomimo to zwiększa wytwarzanie ciepła drogą ośrodka nerwowego kierującego gospodarką cieplną. Gdy zmniejszenie utraty ciepła i zwiększenie wytwarzania ciepła zawodzą, — wtedy następuje oziębienie ustroju. Jego temperatura spada poniżej poziomu normalnej temperatury. Zależnie od wielkości tego obniżenia się temperatury ustrój ginie lub powraca stopniowo do normy. To oziębienie się ustroju może nastąpić nie tylko w zimnem otoczeniu, ale i w temperaturze pokojowej po znacznem oziębieniu przewodu pokarmowego np. przez połykanie dużej ilości lodu.

Mniejsza lub większa wartościowość mechanizmu obrony ustroju przed szkodliwem działaniem zimna stanowi o jego stopniu wrażliwości na zimno i stąd większej lub mniejszej skłonności do zaziębień.. Mechanizm obrony może być już z urodzenia mniejszej wartościowości, lub też może być osłabiony później przez czynniki szkodliwe. Z czynników tych należy wymienić wilgoć, wiatr wzmagający szkodliwe działanie zimna, — dalej ogólne osłabienie ustroju, choroby, zatrucia, które zmniejszają wogóle siły obronne ustroju, więc ułatwiają szkodliwe działanie zimna.

Na czem polega mniejsza lub większa wartościowość regulacji cieplnej ustroju? Dużą rolę odgrywa tutaj wrażliwość układu naczynio-ruchowego, a mianowicie: szybkość z jaką występuje początkowa reakcja ustroju na zimno tj. szybkość powstawania skurczu naczyń skórnych i czas przez jaki skurcz ten się utrzymuje. Jak wspomniano wyżej, skurcz ten wiąże się z równoczesnem rozszerzeniem się naczyń niektórych części odległych i stąd z ich przekrwieniem. Jeżeli to przekrwienie utrzymuje się przez czas dłuższy — może powodować szkodliwe następstwa. Skurcz naczyń skórnych jest tem intenzywniejszy im bardziej były one rozszerzone tuż przed skurczem, dlatego ludzie mocno ogrzani, a więc z silnie rozszerzonemi naczyniami skóry, wystawieni na zimno ulegają bardzo łatwo szkodliwemu jego działaniu.

Właściwym jednak czynnikiem chroniącym od zimna jest nie początkowy skurcz naczyń skórnych, lecz następowe ich rozszerzanie się. Im szybciej ono powstaje i dłużej utrzymuje się, tem słabiej działa zimno na skórę i tem trudniej wywołuje wspomniane odruchowe zaburzenia części odległych.

Wynika stąd, że ludzie z układem naczynio-ruchowym zbyt wrażliwym, więc reagujący zbyt silnym i długo utrzymującym się skurczem naczyń skórnych i błon śluzowych na bodźce zimna, — mają wyraźną skłonność do zaziębień, gdyż ta właściwość ich układu naczynio-ruchowego uniemożliwia im należyte wykorzystanie dalszego aktu obronnego — a zatem czynniki chorobotwórcze uzyskują przewagę. Są to wogóle ludzie odznaczający się nerwową, łatwo pobudliwą konstytucją. Między innemi świadczą o tem prace prof. Schmidt'a.

Badania tego profesora nad mechanicznem powstawania kataru u osób odpowiednio usposobionych (ze zbyt wrażliwym układem naczynioruchowym) potwierdzają też słuszność twierdzenia o szkodliwym wpływie długo trwającego skurczu początkowego naczyń skórnych lub błon śluzowych po zadziałaniu zimna. Jeżeli osobnik odpowiednio usposobiony zostaje wystawiony przez dłuższy czas na ochłodzenie, — naczynia skóry i błon śluzowych, górnych dróg oddechowych kurczą się podobnie jak u osobnika nie skłonnego do zaziębień. Skurcz ten jednak u osobnika odpowiednio usposobionego trwa zbyt długo, bo ponad 20 minut. W związku z tem utrzymuje się długo zbyt silne niedokrwienie śluzówek, skutkiem czego siły obronne śluzówek wobec zawsze znajdujących się tam drobnoustrojów maleją, zaczem następuje rozwój tych bakterji i stan zapalny śluzówki.

Pomiary cieplne śluzówek wykazały, że powyższe zmiany ukrwienia śluzówek — zbyt długo trwający skurcz naczyń, zdarzają się tylko u pewnej grupy ludzi, w przybliżeniu u 10 procent badanych.

Zaziębia się jednak nie tylko człowiek o nerwowo chwiejnym układzie naczynioruchowym, ale też człowiek w zwykłych warunkach, zupełnie normalny i nie osłabiony poprzednio przez jakąś chorobę lub inne czynniki szkodliwe. Następuje to wtedy, gdy zbieg okoliczności sprawi, że jego układ naczynio-ruchowy nie podoła swemu zadaniu. Naprzykład po silnem porażeniu nerwów naczynioruchowych przez nagłe zadziałanie bardzo zimnej wody, przez zadziałanie jadów, narkotyków itp. Lekki przeciąg, którego się nie odczuwa, jest niebezpieczny, bo nie wywołuje reakcji ustroju — regulacja cieplna nie zostaje zaalarmowana, więc ustrój niespostrzeżenie ulega zdradliwemu działaniu zimna, a jako następstwa mamy przeziębienia, porażenia nerwów, bóle głowy, itp.

Układ naczynioruchowy, nawet najbardziej sprawny, zawodzi, gdy ulegnie osłabieniu przez częste i szybko następujące pobudzenia do odruchowej czynności obronnej, — zwężania i rozszerzania naczyń: Wiadomo, że powietrze w jamie nosowej i ustnej ogrzewa się do 30° i nasyca się parą wodną; wtedy dopiero przechodzi do dalszych dróg oddechowych. Otóż na powietrzu zimnem, zwłaszcza przy wysiłkach fizycznych, gdy oddechanie jest wzmożone, ilość powietrza dostającego się do górnych dróg oddechowych, znacznie się zwiększa. Dla ogrzania tegoż wzrasta zapotrzebowanie ciepła — ciepła tego dostarczają rozszerzające się naczynia błon śluzowych górnych dróg oddechowych.

Wahania temperatury w tych drogach są b. znaczne, sprawność naczyń tych błon śluzowych jest w tym wypadku wystawiona na ciężką próbę, gdyż rozszerzenie się naczyń w celu ogrzania powietrza i następowe zwężanie się pod wpływem świeżego zimnego prądu powietrza muszą następować bardzo szybko po sobie, a stopień tego rozszerzenia się i zwężania jest tak duży. Nie dziw więc, że wkońcu ta regulacja zawodzi. Pomimo bowiem bardzo bogatego unaczynienia górnych dróg oddechowych, powietrze nie ogrzewa się dostatecznie i nie ogrzane dostaje się do dalszych dróg oddechowych. A wynikiem tego mogą być rozmaite szkodliwe zmiany, wywołujące chorobę.

N. O.

Ciekawostki ze świata

Szybki wymiar sprawiedliwości

Pewna Angielka, podróżując po Włoszech, kupiła w Rzymie za 3.800 lirów zegarek, rzekomo platynowy. Wróciwszy do kraju, zapragnęła mieć na kopercie monogram. Przy tej sposobności dowiedziała się od rytownika, że zegarek jest ze znacznie tańszego materjału. Postanowiła tedy szukać sprawiedliwości, a nie wiedząc, do kogo się zwrócić, napisała wprost do Mussoliniego. W pięć dni później otrzymała urzędowy list od rządu włoskiego. W środku był czek na 3.800 lirów i następujące słowa: Rząd faszystoowski ukarał jubilera zamykając jego sklep na wieczne czasy. Trzeba przyznać Mussoliniemu, że umie dbać o opinję handlu włoskiego i o ruch turystyczny.

Ile szampana wypito w roku zeszłym?

Statystyka konsumcji szampana w trzech latach ostatnich przedstawia się, jak następuje:

R. 1931 — 12 miljonów butelek.
R. 1932 — 18 miljonów butelek.
R. 1933 — 23 miljonów butelek.

Przyczyn tego wzrostu konsumcji należy szukać w zniesieniu prohibicji w Stanach Zjednoczonych i w poprawieniu się sytuacji gospodarczej w Anglji, ale przedewszystkiem wypito w ostatnim roku więcej, niż poprzednich, szampana w samej Francji. Mianowicie kawiarnie wprowadziły jego sprzedaż na kieliszki po przystępnych cenach.

Zapotrzebowanie Stanów Zjednoczonych powiększa się nadal i z tego powodu handlarze win spodziewają się, że rok 1934 będzie rekordowym.

Tajne walki kogutów

Walki kogutów są od 80 lat zgóry wzbronione w Anglji. Ale stara tradycja żyje po dziś dzień na północy i ludzie oddają się tam barbarzyńskiej rozgrywce, naturalnie w najgłębszej tajemnicy. Schodzą się w tym celu po polach i najczęściej wybierają na miejsce niedozwolonego hazardu zakryte ze wszystkich stron doliny. Nad bezpieczeństwem ze strony policji czuwają rozstawieni naokoło strażnicy, których funkcja jest podwójna — sprowadzać organa władzy na fałszywy trop i dawać sygnały. Jeżeli policja zanadto następuje na pięty, walki odbywają się w domach przy drzwiach zamkniętych. Zakłady na wynik jednej walki osiągają czasem wysokość 200 funtów szterlingów.

Jak wiadomo, jest specjalny gatunek „kogutów bojowych“, hodowany na te zawody w Anglji jedynie w okolicy Bradfordu. Lecz miłośnicy walk sprowadzają ptaki do nich z Hiszpanji, gdzie sport ten kwitł niegdyś narówni z walkami byków. Podobno zapaśników przywozi się aeroplanami, lądującemi na odludnych polach Yorkshire i hrabstw sąsiednich.

Policja zajęła się w ostatnich czasach bardzo gorliwie walkami kogutów. Wyznaczono nawet nagrodę 100 funtów za wykrycie jednego przedsiębiorcy! Wyniki jednak są dotychczas bardzo nikłe. Wszystko jest widocznie doskonale zorganizowane.

Wdowa po Dumas'ie

Z końcem lutego zmarła w Paryżu pani Dumas, wdowa po autorze „Damy Kameljowej“. Jej babka i ojciec byli członkami Komedji Francuskiej, odziedziczyła więc talent aktorski. Ostatni raz grała przed dziesięciu laty w sztuce męża „Półświatek“ odegranej ku uczczeniu setnej rocznicy jego urodzin. Aleksander Dumas Młodszy (1824—1895) znany jest jako autor dramatyczny, ale nie dorównał sławą ojcu, autorowi „Trzech muszkieterów“ i całego szeregu powieści historycznych. Wdowa po nim oddawna prowadziła cichy żywot na Avenue de Villiers w pobliżu parku Monceau. Ostatni raz widziano ją przed kilku miesiącami na otwarciu muzeum dumasowskiego w Villers Cotteret, gdzie urodził się Dumas Starszy. Do końca życia gorąco interesowała się sceną i opiekowała się młodemi artystkami. Z wielkiej urody pozostały jej i w starości prześliczne, żywe oczy kilkunastoletniej dziewczynki.

—o—

ŚWIAT KOBIECY

Moda wiosenna

Moda wiosenna stosuje się nadal do dawnych nakazów: sylwetka długa i szczupła, biodra wąskie, biust średni, ramiona względnie szerokie, jednak już nie przesadnie, lekko podniesione. Fasony: kimono i raglan; wymyślne szczegó齐iki odabiające rękę nad łokciem, zastąpiły, niemodne już obecnie, kwadratowe i sterczące ramiona.

Wycięcia małe; dużą uwagę zwracamy na to, aby dać twarzy efektowne tło z miękkich draperyj, oryginalnie upiętych kołnierzy, krawatów, żabotów, węzłów i plastronów. Kołnierz prosty zginął na dłuższy czas z przepisów mody. Modny obecnie kołnierz jest niesymetryczny, do połowy lekko drapowany, ozdobiony wielkiemi płaskiemi guzikami, lub z końcami skrzyżowanemi z przodu lub tyłu. Napewno zdobędzie on uznanie kobiet, zwłaszcza tych, które nie mogą się poszczycić gładkim zarysem dekoltu i wysmukłości, szyji.

— Pełne wdzięku baskinki przynoszą urozmaicenie swemi ozdobnemi falbankami, naszytemi na nie guzikami lub kieszeniami.

— Bardzo modne jest obecnie połączenie spódnic i bluz o długości trzy czwarte Bluzy te ozdabiane są małemi pliskami, ułożonemi w wachlarz o zaokrąglonych brzegach.

— „Krzykiem mody" są spódnice — „portfele", całe zapinane lub poprostu nakładane na sukienkę jakby rodzaj fartucha, oraz tuniki w rodzaju podwójnych spódnic.

— Nowy sezon pozostaje wogóle pod znakiem bluz z baskinkami i bluz 3/4 długości — „casaque". Zasadniczo do kasaków można zastosować długość dowolną, zastosowując się jedynie do możliwości materjalnych i biorąc pod uwagę kształt figury oraz zastosowując połączenia kolorów, spódnicy i kasaku możliwie jak najbardziej kontrastowych. Na dzień: kasak z crêpe marocaine, ottoman, crêpe romain, ze spódnicami z lekkiej wełny. Na późniejsze godziny popołudniowe kasak z lamy, brokatu i z crêpe satin.

— Połączenie tkanin jasno-różowych z pastelowym szarym, obwiedzione delikatnemi koronkami złotemi, tworzą efekt pełen dystynkcji.

— Do wieczorowych nowości należą suknie z podniesionym przodem, którego kontrastem są długie rękawy i pełen wdzięku krótki tren. Często spotykamy również toalety z krótszemi rękawami, bolera, małe żakieciki, lub pelerynki, które gdy dodamy, zmieniają suknie z wieczorowej na popołudniową.

— W Paryżu są modne znowu kostjumy z żakietami. Żakiety krótkie i pół. długie, luźne w talji, kołnierzami marynarskiemi, kamizelki z jasnej piki, ze spódnicami wąskiemi, opadającemi prosto. Klosze całe, i klosze rozszerzane u dołu są już niemodne; fałdy, plisy, zakładki, mają teraz powodzenie.

— Ciemne kolory zimowe są zastąpione obecnie przez barwy żywe, najczęściej w tonie: zielonym, jasno oliwkowym, niebieskim „marynarskim", w szarym kolorze chmur, beige-blond, o rudawym i w kolorze skały, bronzowo-szarym.

— Lekkie wełenki z ażurami, koronkowe cienkie wełniane crêpe tweed, i „męskie" materjały; nieregularne łapki kurczęcia, rozczapierzone paluszki i inne fantazyjne wzory, jaknajbardziej skomplikowane są na pierwszem miejscu. Jersey pika, jedwab-wełna...

—o—



Oryginalna kombinacja kolorów czarnego z białem przy płaszczu wiosennym (Model Mainbocher)

Krokodyla daj mi luby...

Niema dosłownie rzeczy, którejby wszechwładna „Moda" nie potrafiła zużytkować dla swych celów. Węże, jaszczurki, krokodyle, rekiny — wszystkie te sympatyczne stworzonka składać muszą swe życie i swą skórę w ofierze, aby zadowolnić ekscentryczne gusta i fantazje mody kobiecej.

I gdyby słynny „potwór z Loch-Ness" okazał się nie sprytną reklamą, lecz rzeczywistością, napewno o skórę jego toczonoby homeryckie boje, w których uczeni zoologowie musieliby skapitulować przed „królem mody"... Bo jakież to oryginalne kombinacje możnaby wymyślać, mając do dyspozycji olbrzymią skórę takiego potwora!

Narazie zadawalniamy się potworami bardziej popularnemi; w tej chwili „modnym" jest... krokodyl.

Ze skóry tego miłego zwierzątka wyrabia się torebki, nesesery, walizy... co jednak znajduje usprawiedliwienie we fakcie, że skóra ta odznacza się nadzwyczajną trwałością, przewyższając na tym punkcie najlepsze skóry boksowe.

Ostatnią nowością paryską są białe buciki ze skóry krokodyla. Dlaczego właśnie białe? — spytacie. Bo tak każe moda paryska, zdaniem której właśnie z białego bucika najłatwiej usunąć ślady kurzu i błota... Rozumowanie logiczne, nieprawdaż? Ale czyż moda liczy się kiedykolwiek z logiką? A tem mniej... z ceną takiego obuwia.

Owe białe buciki z krokodyla nadają się podobno znakomicie do wycieczek i dłuższych wędrówek... A ostatecznie i na corsie spełnią swe właściwe zadanie: z jakąż zazdrością spoglądać będą na nie te panie, które nie mogą pozwolić sobie na tego rodzaju „praktyczne" i trwałe obuwie!... I niejedna z nich westchnie nieraz żałośnie „Krokodyla daj mi luby-"...

—o—

Poradnik kosmetyczny

Precz z piegami!

Należy przedewszystkiem przeprowadzić radykalne łuszczenie w zakładzie, który daje szybszy i trwalszy efekt niż łuszczenie maściami, a następnie stosować kremy ochronne z zawartością heljosu, curcume i t. p. Radykalne łuszczenie nie wyklucza powstawania nowych piegów, ponieważ w komórkach naskórka tworzy się stale nowy pigment i dlatego po usunięciu widocznych piegów należy stale używać preparat ochronny.

Z domowych środków podajemy następujące: 3% woda utleniona, (przecierać codziennie wieczorem miejsca pokryte piegami), sok poziomkowy lub ogórkowy, którym trzeba przecierać twarz 2—3 razy dziennie. Można również stosować poziomki i ogórki w postaci maseczki w ten sposób: ogórki obrać ze skórki, przetrzeć na maszynce, papką tą okładać twarz, przykrywając ligniną lub kawałkiem płótna — poziomki zaś zgnieść na masę i dalej postępować, jak z ogórkami. Po upływie jednej godziny, masę zdjąć, a twarz opłókać wodą chłodną.

Kobiety z ładną szyją

Aby zachować piękną linję szyji należy pielęgnować ją odpowiednio już od najmłodszych lat, gdyż objawy starzenia najłatwiej właśnie, dają się zauważyć na szyji i najtrudniej je poprawić. Należy postępować w sposób następujący: rano i wieczorem poddać szyję gimnastyce przez 5—10 minut, ykonując ruch obrotowy, następnie pochylając głowę naprzód, w tył i na boki. Po wykonaniu gimnastyki natrzepać szyję wodą zimną z dodaniem soku cytrynowego (na szklankę wody sok z jednej cytryny). Natrzepywanie można wykonywać „masażetką", najbardziej odpowiednią do tego celu lub tamponikiem z waty, ewentualnie serwetką. Wieczorem posmarować szyję kremem kamforowym i zabandażować na 2 godziny bandażem elastycznym.

Jak leczyć rozszerzone pory

Jednym z bardziej uporczywych defektów skóry, są rozszerzone pory, które dają się usunąć jedynie przy pieczołowitej, systematycznej, nieraz kilkuletniej pielęgnacji. W zakładzie rozszerzone pory leczymy zapomocą elektryzacji, djatermji, D'Arsonwalizacji, natrysków chłodnych, masek ściągających i t. p.

Oto przepis na tani środek domowy: ubić białko na pianę, następnie dodać 10 kropel cytryny i taką papkę położyć na twarz uprzednio umytą wodą ciepłą z otrąbkami. Maseczkę tę trzymać około 20 minut, poczem zdjąć chłodnym kompresem.



Suknia płaszczowa

Potrzeba na to materjału grubszego 3,10 mtr. o szerokości 1 mtr., — przyczem można zużytkować do tego celu jakiś nie modny już płaszcz.

Odcinamy kawałek wysokości 1.25 m, który składamy na pół, stębnując następnie z lewej strony od góry do dołu w odległości 6 cm. od środka.

Zrobić fałd 12—14 ctm. głęboki i przeciąć go na całą długość, zapięcie na 12 do 14 guzików.

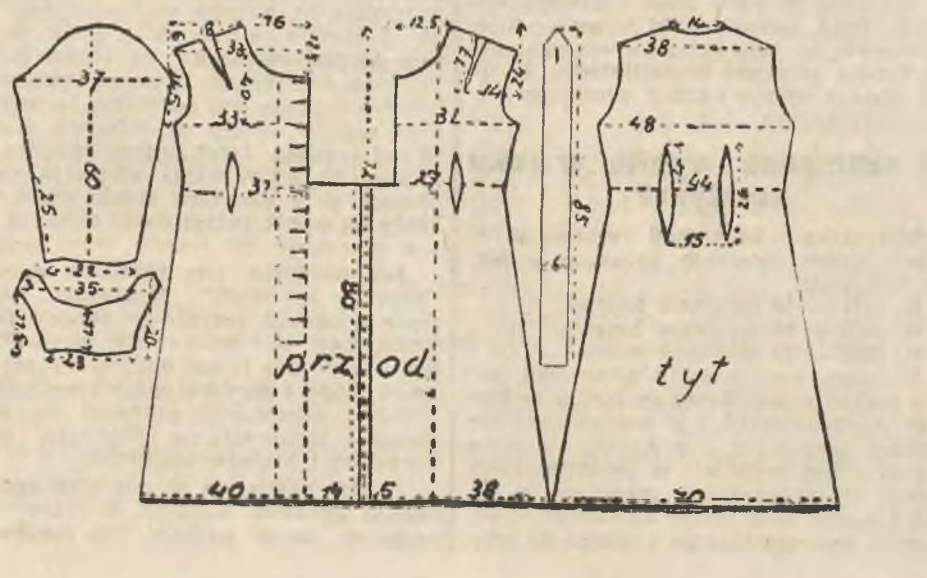
Po bokach i na ramionach wszytki.

Na plecy ta sama wysokość, dwie wszytki w pasie.

Mankiety długie, obcisłe, z szerokim rewersem.

Pasek z tego samego materjału, zapinany na guzik.

Wycięcie pod szyją półokrągłe.





Biały fantastyczny kołnierz przy ciemnej sukni daje bardzo ładny efekt.

M. K.

Z wielkanocnych zwyczajów i wierzeń ludowych

Niedziela palmowa i Wielki tydzień. — Święcone i pisanki. — Smigus. — Obchody wielkanocne. — Momenty zaduszkowe i matrymonjalne.

Okres Wielkiej Nocy, jego bezsprzecznie największego święta w całym cyklu roku kościelnego, jest równocześnie okresem, z którym wiąże się szczególnie wielka ilość zwyczajów i wierzeń ludowych. W obrzędach tych splatają się razem pozostałości dawnej magji, mającej na celu sprowadzenie odpowiedniemi praktykami pomyślności i urodzaju, wprowadzone przez Kościół pierwiastki wierzeniowe i reminiscencje z średniowiecznych, wielkopostnych misterjów, dalej echa prastarego kultu przodków i wreszcie momenty matrymonjalne.

Początek wszystkim tym obrzędom daje Niedziela Palmowa, w którym to dniu poświęca się gałązki wierzbowe, ewentualnie kwiatostany trzciny (Phragmites) pod nazwą palm. Palmą tą uderza się w wielu okolicach po powrocie z kościoła domowników trzykrotnie, mówiąc: „Nie ja biję, palma bije, za tydzień Wielki Dzień". Jakkolwiek święcenie palm przypominać ma wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy, a chłostanie nią biczowanie, to jednak zaznaczyć trzeba, że zwyczaj ten jest pochodzenia przedchrześcijańskiego. Takie wici zielone występują bowiem według prof. Poniatowskiego (St. Poniatowski „Etnografja Polski", Wiedza o Polsce, tom III) we wszystkich obrzędach wczesnowiosennych pod rozmaitą postacią (różdżek, drzewek). Podobnie chłosta należy do prastarego rytuału obrzędowego, mającego na celu zapewnienie zdrowia i pomyślności i występuje także przy innych zwyczajach dorocznych (n. p. w okresie świąt Bożego Narodzenia).

Święconej palmie przypisuje się własności niezwykłe. Zawieszona w izbie, lub budynkach gospodarskich chroni je od pioruna, gałązki jej wbite na czterech rogach pola chronią od grożącego gradobicia (krakowskie), dym z jej spalenia ma moc rozpędzania groźnych chmur (wołyńskie) i t. p. Palmą wielkanocną wypędza się w niektórych okolicach po raz pierwszy bydło na pole i błogosławi nią. Bażki z palmy bywają czasem, np. na Orawie, używane przy siewie — rolnik rzuca je pod pierwszą skibę: przypisuje się im pozatem powszechnie znaczenie lecznicze. Mają mianowicie leczyć bóle gardła. Pewne znaczenie posiadają również węgle, pozostałe ze spalenia korony cierniowej, co odbywa się na dziedzińcu kościelnym we Wielką Sobotę rano. W Gorlickiem uważają, że rozrzucone na polach zabezpieczają je przed szkodnikami. W niektórych okolicach rozpala się ogniem przyniesionym z kościoła ognisko domowe. Woda, którą Kościół poświęca we Wielką Sobotę służy do skrapiania pól. Obrzędu tego dokonuje się w poniedziałek wielkanocny o świcie. — Nietylko palma i woda święcona mają cudowną moc, ale i ostatnie dni Wielkiego Tygodnia, poprzedzające cud Zmartwychwstania, posiadają wyjątkowy charakter. Tak n. p. zanurzenie się trzykrotne w rzece lub potoku w Wielki Czwartek o świcie leczyć ma z wyrzutów skórnych (gorlickie).

Wśród wielkotygodniowych zwyczajów spotykamy też pozostałości z dawnych widowisk pasyjnych, które łącznie z innemi religijnemi misterjami były b. popularne w średniowieczu i później jeszcze w całej Europie, a zniknęły z początkiem XVIII w. na skutek sprzeciwów Kościoła, spowodowanych tem, że w widowiskach tych wzięły zczasem górę elementy komedjowe ze szkodą pierwiastka religijnego. Gdzieniegdzie jednak zachowały się. Miejscowością sławną ze swych widowisk pasyjnych jest niemieckie Oberammergau. Refleksem takich właśnie przedstawień jest według prof. Fischera (A. Fischer „Lud polski") znany u nas powszechnie zwyczaj stawiania straży przy Bożych Grobach, oraz praktykowany w niektórych okolicach (Powiśle Sandomierskie) zwyczaj włóczenia bałwana wyobrażającego Judasza.

Najpopularniejszym i najcharakterystyczniejszym zwyczajem wielkanocnym jest urządzanie znanego nam wszystkim, „święconego". Święcone, a zwłaszcza główny jego składnik: jaja wielkanocne, odgrywają podobną rolę w ludowych praktykach gospodarskich, jak palma i otaczane są wielkim szacunkiem. W gorlickiem okruchów święconego nie wyrzuca się jak zwyczajne resztki, ale, starannie zebrane, pali w ogniu, albo też daje ptaszkom, lub kurom, by „prędko kwokały", Nie wolno natomiast dawać ich psu, lub kotowi, bo... węch-by straciły. Woda, w której gotowały się jaja, przeznaczone na święcenie, pomocna jest na nogi przeciw spękaniom, a wylana do sadu pod drzewa owocowe zapewnia lepszy urodzaj. U Huculów ta sama woda leczy bóle oczu, a święcona słonina (ściśle mówiąc dym z jej spalenia) odpędza burze. — Ze święconem wiąże się ściśle zwyczaj farbowania jaj i sporządzania pisanek. Barwi się jaja zwykle barwikami roślinnemi; na żółto wywarem z łupin cebuli, lub pączków knieci błotnej)Caltha), na zielono odwarem z młodego żyta, kotek osiki z ałunem i t. p., lub nawet przy pomocy kolorowej bibuły. Jaja ufarbowane na jeden kolor noszą nazwę kraszanek, malowanek, byczków, lub ałunków, gdy zaś otrzymają deseń różnokolorowy, stanowią właściwe pisanki. Pełnią one rolę upominków świątecznych i służą jako wykupne od oblewania; znane są też różne zabawy „w jajka".

Niemniej popularnym od święconego i pisanek jest zwyczaj oblewania się wodą w poniedziałek wielkanocny, czyli śmigus, albo dyngus. Nie we wszystkich jednak okolicach Polski obie te nazwy są znane. Często mówi się tylko o „oblewaniu" i „oblewanym poniedziałku". Sam zresztą wyraz śmigus, pochodzący z niem. Schmackostern, oznaczał pierwotnie bicie rózgą w Niedzielę Palmową. Termin drugi dyngus — wywodzi się od niem. dingen = okupywać się, gdyż tak od rózgi, jak i oblewania wykupywano się. Oby tych określeń używa się w niektórych okolicach na oznaczenie chodzenia po domach po dary w poniedziałek wielkanocny. Prócz ludzi oblewane bywają czasami i krowy, a to w tym celu, by więcej dawały mleka. Na Kujawach pławi się konie, by się dobrze chowały. Oblewanie stosowanem też bywa poza obrębem świąt, jako środek sprowadzający deszcz. Podczas dłuższej posuchy oblewano dawniej baby wodą, lub wprost przemocą pławiono w rzece w mniemaniu, że zabieg ten przerwie suszę. Oblewanie i chłosta nie były dawniej związane z jednym dniem, ale trwały dłuższy czas.

Z chodzeniem po dary i oblewaniem łączy się często oprowadzanie t. zw. kurka. Kurek jest to bądź żywy kogut odpowiednio przystrojony, bądź sztuczny z drzewa, gliny i t. p., przybrany w pierze i umocowany na kółkach. Z kurkiem chodzą z reguły chłopcy. Dla dziewcząt przeznaczony jest „maik". Jest to gałąź choiny, odpowiednio przybrana, którą obnosi się przy pieśniach i życzeniach „nowego latka". Przebierano się też czasami — przeważnie w Małopolsce południ. — za kura, niedźwiedzia, za t. zw. dziadów śmigusowych, cudacznie ubranych i t. p. Obchody tego rodzaju nie wszędzie na ziemiach Polski są znane i dzisiaj występują w postaci przeważnie szczątkowej. Sam „maik" nie jst nawet ściśle związanym z Wielkanocą, bo występuje już w śródpościu i trwa aż do Zielonych Świątek.

W zwyczajach i obrzędach wielkanocnych przebijają się, jak już zaznaczono na wstępie, także i momenty związane z kultem zmarłych. Najwyraźniej występują one w obrzędowości ziem wschodnich, niemniej jednak i na innych ziemiach Polski dadzą się z łatwością odszukać. Tak więc w gorlickiem, jeśli w ciągu roku zmarł ktoś z rodziny, przypadającą na niego część święconego ofiarowuje się ubogim z prośbą o modlitwę za jego dusze. Obdarzanie ubogich na Wielkanoc na intencję zmarłych jest dosyć rozpowszechnione. Czasami nawet Kościół solidaryzuje się z odwieczną tradycją, gdyż w niektórych parafjach (n. p. Biecz) w poniedziałek wielkanocny, idzie procesja z kościoła na cmentarz, podobnie jak na Wszystkich Świętych. Na ziemiach wschodnich urządza się uczty na grobach i rozdaje jadło ubogim (co prawda nie zawsze na Wielkanoc, ale często na Zielone Święta) i zakopuje na mogiłach jaja wielkanocne. W okresie Świąt Wielkanocnych palono też ognie dla zmarłych w celu „ogrzania zziębniętych dusz", który to zwyczaj występuje i dziś u Huculów.

Także w innych obrzędach wielkanocnych widzą etnografowie element zaduszkowy. Tak np. oblewanie wodą według przypuszczenia prof. Poniatowskiego, mogłoby mieć charakter zaduszkowy, gdyż oblewanie takie było dawniej oczyszczeniem stosowanem w związku z obrzędami ku czci zmarłych. Podobny charakter ma mieć bicie rózgą wielkanocną. U Łotyszów bowiem uczestnicy pogrzebu po powrocie biją zielonemi witkami domowników..

A wreszcie nazwa najbliższego okresu poświątecznego: „przewody", niedziela „przewodnia", wskazywać mają na to, że w czasie tym odbywało się przewodzenie, czyli wyprawianie na tamten świat dusz zmarłych, które na okres świąteczny ściągnęły na ziemię.

Oprócz zwyczajów, mających charakter zabiegów magicznych i momentów zaduszkowych poprzez ludową obrzędowość wielkanocną przewijają się i motywy matrymonjalne. Zaznaczają się one w oblewaniu, które jest pewnym wyrazem hołdu dla dziewczyny. Każdy chłopiec oblewa przedewszystkiem swoją „wybraną" i przez jej rodziców jest przyjmowany. Obok tego występuje pierwiastek matrymonjalny w obdarowywaniu się pisankami, oraz pieśniach i grach wielkanocnych, rozpowszechnionych szczególnie na ziemiach wschodnich n. p. Pokuciu (gra „w Zelmana" „Swaty"), lub Białorusi („Caryca").

ŚWIĄTECZNE PORZĄDKI

Co to dzieje się z tobą, mój domu?
Rozpętały się w tobie złe siły
I z hałasem, podobnym do gromu
Spustoszenia ohydę wznieciły,
Najeżdżając najcichsze zakątki.
To szaleją świąteczne porządki.

W posiadanie wziął szaflik bawialnię
Ze szmatami i ługiem i szczotką
Co się wznosi ku górze nahalnie
I do okien przytula się słodko —
Gdzież ich dawna słoneczna uroda?
Dziś zmącona skalała ją woda .

Gdzie popatrzysz tam chaos i zamęt —
Ot, ten stolik do kart szaławiła,
Zieleń zawsze mu głowę zdobiła,
A od graczy znów wziął temperament.
Więc komodę, choć babsko sterane,
Napastuje, popchnąwszy pod ścianę
A dwie talje na ziemię uronił —
Król czerwienny afektem się spłonił
I na damę spogląda z pod wąsa.
Ale dama na niego się dąsa,
Więc król berłem jej grozi: Panienko
No, no, już ja cię chwycę pod ręką.
Będziesz wtedy śpiewała mi cienko.
Wtem trefl dwójka, najlichsza wśród blotek,

Na królewski stąpiła nagniotek.
Król się żachnął: Ach ty, pośmieciuszko! —
I spojrzeniem ją przeszył zatrutem.
Jakby chciał ją pociągnąć za uszko
Ale ona odpowie pogróżką:
I ja też będę kiedyś atutem.

Kosz na kwiaty zwolniony z ciężaru,
Niebezpiecznym zaraża przykładem.
Idzie w pląsy z firanką powiewną,
A wśród śmiechu, tupotu i gwaru
Wnet zaczyna wirować ich śladem
Wszelki metal i sukno i drzewo..
Kaloryfer wrośnięty w podłogę,
W rozhulane wpatruje się pary.
Utyskując: „Choć chciałbym, nie mogę" —
I uśmiechem się smętnym uśmiecha,
Z węgierskiego zaś biurko orzecha
Jak kawaler choć stary, lecz jary,
Wiotką palmę zaprasza do tanów
I warjacko rozbija się w tłumie,
A że modnych fokstrottów nie umie,
Więc dziwaczne wycina hołupce —
Coś z czardasza w nich jest, coś z kankanów

Kaloryfer ich ma na wątróbce:
„Stary grzyb i młodziuchna dziewczyna"
Głosem nieco syczącym zaczyna
„Czy to z wnuczką waść tańczysz, czy z córką?"
Wstydź się, wstydź się sędziwe ty biurko!

Półki czują się lekkie, jak piórko,
Gdy mądrości odjęto im brzemię
I w tan idą, wesołe bez troski.
Książki spadły bezładnie na ziemię —
Przy Tuwimie więc padł Kochanowski,
Pokumali się Grabski i Dmowski
Nad Balzakiem góruje Mniszkówna.
Nad Szekspirem zaś Henryk Zbierzchowski.

Tak to z czasem się wszystko wyrówna...
Tylko gniewnie Słowacki wciąż parska,
Bo przygniotła go książka kucharska.

Piętnastego pamięta Ludwika
Pozłocisty dostojnik ze ściany.
Lecz dziś z wszelką kanalją zrównany;
Tyk, tyk, tyk, z telefonem się tyka
Chociaż razem nie puszcza się w tany.
Chce telefon bostona, fokstrota,
Ale Francuz mu rzekł zadąsany:
„Ach, fi donc, to niech tańczy hołota,
Ja menuetabym chciał lub lansjera".
A telefon: „Już wolę sztajera,
A lansjera niech porwie cholera".

Jakby szalał pustynny huragan.
Tak wciąż rośnie i rośnie bałagan.
Tu na głowach stawiają się stołki
Jak winograd, krzesełka się splotły,
Tam rumiane z obrazu aniołki
Wywracają ucieszne koziołki.
Tu w fokstrocie znów kręcą się mosty.
Tam alpejskie w wazonkach fiołki
Mickiewicza popiersie przygniotły
I na głowie strugają mu kołki.
Tu do lampy umizga się dywan,
Tam ze ściany zstąpiła markiza
I już do niej przystawia się Iwan,
A zazdrosny im hrabia dogryza.
Bo uważa, że został wykiwan.
Ale oni go mają za chmyza.
Malowanych postaci już plemię
Całą masą spłynęło na ziemię.
Już z pejsaczem pułkownik się ściska,
Już karmazyn im mówi „Daj pyska".
Już z Oazy tam jest odaliska
Wie gdzie złoto i szampan wytryska,
Więc już wdzięczy się zbliska — z jak bliska!

Wkoło wszystko wiruje koło mnie
Wśród szaleńczych podrygów i gestów,
A ja ledwie już napół przytomnie
Kładę myśli me w grzmot anapestów
Rozbębnionych warjacko i dziko
Jakąś iście djabelską muzyką .

Lecz już dosyć chichotów i grzmotów,
Coś się rwie w najbiedniejszej z mózgownic —
Jabym jeszcze oszaleć sam gotów
Pośród tego sabatu czarownic.
Już bezradnym poczułem się pyłkiem
I do knajpy wymykam się chyłkiem

A. J.

ZBIGNIEW PAPP

Fotomontaż

Wąski snop światła przecina jasną, drgającą smugą mroczną pustkę sali, pada na biały kwadrat ekranu i materjalizuje się na płótnie w nierealny obraz kinematograficznej złudy. Zastygłe w nabożnem oczekiwaniu oczy tysiąca widzów zawisły na muskularnej postaci artysty, bożyszczem kobiet na obu półkulach jednomyślnie obwołanego. On rece szeroko rozkłada, białe zęby w uśmiechu ukazuje, i radosny, zwycięski, kołysząc się w biodrach podchodzi. Będzie śpiewał. Zbliża się ciągle. Głowa jego wypełnia już cały ekran, usta otwiera szeroko... Już śpiewa!...

Szeroko otwarte usta. W błędnych oczach lęk straszny, oszalały. Znieruchomiały w grozie chiński chłopak nie może zdobyć się na żaden gest, zrobić ani jednego kroku, nie może nawet krzyczeć. To, co widzi teraz, zostanie mu pod powiekami na całe życie: nie zapomni tego już nigdy. Te czerwone płomienie ogarniające dom, w którym się urodził i wychował i trup ojca przybity do ziemi bagnetem japońskiego żołnierza i skatowane ciała pomordowanych braci i ci najeźdźcy obcy, przeklęci przybysze z wysp! Niscy, krępi, karni, w równych szeregach stojący patrzą obojętnie na wieś obróconą w perzynę, na zrównane z ziemią budynki, na przeorane kołami armat pola ryżowe. Idą tak już przecież całe miesiące od bitwy do bitwy, od zwycięstwa do zwycięstwa kroczą wpatrzeni w słońce wyszyte na sztandarach. Dla nich ogień pełzający po zgliszczach jest zniczem rozniecony ku chwale ich niezwyciężonej ojczyzny. Stoją spokojni w poczuciu spełnionego obowiązku, dźwigając pełny nowoczesny rynsztunek cywilizowanego barbarzyńcy: karabin na ramieniu za pasem błyszczący bagnet, na plecach maska gazowa.

W takich samych maskach w tej samej chwili cztery postacie ludzkie postępują wzwyż stromą, urwistą granią. Wyglądają jak drobny ścieg czarną nitką znaczony na białym atłasie śniegu. Tuż nad ich głowami wznosi się majestatyczny, niedosiężony król szczytów, olbrzymi blok skalny, jedyny punkt globu ziemskiego, gdzie dotąd nie zostawiła śladu stopa człowieka. W imię czego brną tam uparcie w atmosferze tak rozrzedzonej, że w piersiach braknie tchu? W imię czego oderwani o dskały padają w otchłań z rozkrzyżowanemi ramionami synowie Albionu? Oto wystający cypel góry osłonił ich na chwilę, przystanęli więc, niezgrabni i dziwnie nieporadni w ubraniach podobnych do stroju nurków i rozmawiają na migi umówionym alfabetem gestów.

— Jak wysoko jesteśmy?

— Osiem tysięcy ośmset.

Nagły poryw wichury zatargał masami śniegu. Biały tuman zasypuje oczy, kreśli fantastyczne kręgi i wiruje dokoła coraz szybciej, coraz gwałtowniej, zmieniając świat w jeden wściekły, zawrotny kłąb.

Zawrotne wiruje osadzone na stalowej osi koło rozpędowe. Rozdygotana dreszczem pracy maszyna wyrzuca z labiryntu kółek, trybów, pasów transmisyjnych i walców tysiące egzemplarzy i wykrzykuje rytmicznym jękiem sensacyjne tytuły. Ręce robotników chwytają w locie wilgotne kartki i podają dalej, ciągle dalej i dalej. Już całe sterty złożone i sprasowane, cuchnące świeżą farbą leżą w halach ekspedycyjnych, czekając na swoją kolej. Za chwilę, choć miasto jeszcze śpi, zanim brudne i rozczochrane służące wyjdą na zakupy, batalion chłopców ponędzi pustemi ulicami i po rogach rozkrzyczą się wrzaskliwe, natrętne, wulgarne, cyniczne i bezczelne czcionki telegramów „z ostatniej chwili", sławiące występek i zbrodnię ubiegłej nocy, zamierającej w objęciach świtu.

Duże, różnokolorowe czcionki zwracają uwagę przechodniów. — Ludzie przystają obok słupów reklamowych oglądają rozlepione afisze głoszące szaleństwa karnawału. Dziś bal, jutro bal, pojutrze bal. Tysiące mizernych, wynędzniałych kobiet szyje po nocach przy mdławem świetle lamp naftowych jewabne cuda dla śnieżnobiałych panien z piany morskiej zrodzonych. Na sali rojno, gwarno i duszno. Autentyczny murzyn, chluba metropolji, toczy przeraźliwie białem spojrzeniem dokoła i dosiadłszy saksofonu galopuje hałaśliwie po bezkresnych preriach jazzbandu, napełniając je rykiem dzikich zwierząt spędzonych na ten dancing z całego świata. Po lustrzanej posadzce ślizgają się w upojnym rytmie tanga spocone oszalałe z gorąca pary. Migając w świetle lampionów wytworne toalety, rozjaśniane błyskawicami klejnotów, długie, wieczorowe suknie powiewnemi fałdami obwijają się wokół roztańczonych nóg...

Szarpana gwałtownemi podmuchami suknia oblepia kolana i trzepoce się na wietrze. Dziewczyna mocno objęła drzewo rękami i przytulona do pnia spogląda w niemym zachwycie na miasto rozłożone w dolinie. Mgły poranne snują się błękitną gazą między wieżami kościołów. Jak bosko jest stać na szczycie kopca i ogarniać wzrokiem bezkresny horyzont, zwłaszcza, gdy się ma lat dwadzieścia i gdy się dopiero czeka... Wiatr muska pieszczotliwie zarumienione policzki, pieści wiotkie kształty i rozsypuje niesforne loki spływające złocistą falą na skronie...

W promieniach słonecznych złocą się ciche, morskie fale i podpływają nieśmiało pod kadłub okrętu prującego toń Atlantyku w obłędnej pogoni za rekordem. Pasażerowie pierwszej klasy zebrali się na górnym pokładzie, palą cygara, grają w bridge'a lub patrzą bezmyślnie na wodę. Tylko władzy nie wolno odpoczywać. Samotnie tkwiący na kapitańskim mostku szpakowaty mężczyzna o ostrych rysach i stalowem spojrzeniu, w mundurze z błyszczącemi guzikami, czuwa nad życiem powierzonych sobie ludzi. Wyciągnięta ręka wskazuje kierunek, kres drogi, cel ostateczny, ku któremu trzeba dążyć przez burze, huragany, cisze morskie i wichry przeciwne.

Tramwaje, auta, dorożki, ludzie — wszystko zatrzymuje się przed tą nieruchomo wyciągniętą ręką. Zato w drugą stronę przelewa się gwarne mrowie ludzkie i sznur pojazdów. Za chwilę dłoń „stróża bezpieczeństwa" opada i samochody ruszają naprzód, jak sfora psów spuszczonych ze smyczy. Jest rojno, hałaśliwie i jasno. Na dachach kamienic rozbłyskują neonowe źrenice sławiące dobroć nowych nożyków do golenia, lub niezwykłe zalety żarówek elektrycznych. Z wystaw sklepowych bije na ulicę masa światła światło spływa z wysokości potężnych lamp łukowych, z wnętrz tramwajów, z reflektorów aut i cała atmosfera przesycona jest tą mleczną, ruchliwą jasnością, przy której blednią zawstydzone własną małością gwiazdy.

Przed wejściem do kina tłok jest jeszcze większy, aż trudno przecisnąć się chodnikiem. Tłumy oglądają z zaciekawieniem wabiące fotosy i łowią chciwie chrapliwe dźwięki wypluwane przez głośnik umieszczony nad bramą. Zniekształcony głos tenora bierze ostatnie cis, poczem storturowane ucho chwyta szmer oklasków.

Na ekranie biją brawo wyfraczeni statyści. Pierwszy sopran robi wniebo wziętą minę i z czarującym uśmiechem podaje tenorowi usta. Na widowni hałas podnoszonych krzeseł i gremjalny atak do drzwi wyjściowych. Zapalają się światła, ekran jest znowu sobą. Seans skończony.

TADEUSZ BR. ULANOWSKI

Nie bez echa...

Bardzo lubię poezję we wszelkich jej odmianach, a już szczególnie tę w gładkie kunsztowne rymy zakletą; z równem wzruszeniem biorę do ręki wielki, wykwintnie oprawiony poemat któregoś z mistrzów poetyckiej lutni, jak i skromny tomik, stawiającego pierwsze kroki ucznia Apollina. — Wprawdzie w epoce supremacji piłki nożnej, boksu, hokeja na lodzie, trawie i czemś tam jeszcze ta moja słabość do poezji traci grubem zacofaniem i stęchłą parafiańszczyzną, ale na to niema rady: „*ja już jestem taki zimny drań*", jakby powiedział Bodo.

Przy poezji można czasem zapomnieć nawet o zaprotestowanym wekslu, komorniku, teściowej i t. p. przyjemnościach kryzysowych.

Ostatnio wpadły mi np. do rąk „Poezje" pewnego autora o bardzo groźnie brzmiącem nazwisku. Niewielki tomik, którego pomarańczowo-żółtą okładkę zdobi intrygująca ilustracja: *mały kaktus na tle potężnych drapaczy chmur*. Zawiły symbol, przypuszczam, że ma oznaczać, iż poezje te, opatrzone pełnym rezygnacji tytułem „*Bez echa*" jak ten maleńki kaktus wobec ogromu niebotyków giną w oceanie wszechświatowej literatury. — Bez echa.

Zrobiło mi się żal biednego poety — bo i właściwie z jakiej racji jego wiersz szyki mają tak bez echa przeminąć? Zagłębiłem się w czytanie i już po przejrzeniu pierwszych stron doszedłem do wniosku, że stałaby się ludzkości wielka krzywda, gdyby jej z drobnym bodaj ułamkiem tych wierszy nie poznano. Zasługują w pełni na to, aby nie przeminąć bez echa.

Zatem...

Czytelnik zaraz na wstępie dowiaduje się, że autor pochodzi z Ukrainy, nad której obecnym losem mocno boleje:

„Biada, biada, stepom naszym,
Któż je teraz będzie chronił?
Dziś plugawy moskal panem,
Stepy sobie te przyłonił.
I rozrzuca te kurhany,
Które niegdyś step chroniły,
Starą matkę skół w kajdany,
A młode się zwyrodniły..."

Przykra historja. Trudno, skoro sobie moskal stepy *przyłonił*, a matkę *skół* — to nic dziwnego, że młode się *zwyrodniły*. I nic dziwnego, że na takiej kresowej ziemicy rozgrywają się okropne dramaty:

„Niegdyś w Ukrainie,
Żył ród poczciwy, szlachecki,
Stał jego dworek, gdzie Dniepr czarny,
A zwał się ten szlachcic Baniecki".

Był to zaś taki osobliwy jegomość.

„Którego sąsiedzi,
Dziedzicznie kochali,
Więc nie było ludzi
Którzy go nie znali".

Wszystko było w porządku, aż dla tego *dziedzicznie* kochanego przyszedł feralny dzień:

„Był dwudziesty czwarty grudzień,
Tysiąc dziewięćset szesnasty...
W nim krążyło wiele złudzeń
I różnej hałastry..."

Oprócz *złudzeń* i różnej *hałastry*, był tam i jakiś czarny typ — mówiąc tak entre nous — zbrodnie małe świństwo: podszedł do szlachcica i wtedy

„Błysnął sztylet w jego ręku
Tak, jak błyskawica,
Wszyscy niemi byli z lęku,
On wbił w pierś szlachcica..."

Mord. Trup. Koniec. Poeta wobec tego mocno się rozmarzył:

„Jesienna pomnę była noc
Dokoła sen i cisza.
Na niebie gwiazd mrugało moc
I świecił nów księżyca..."

Ten *nów* tak poetę oświecił, że doszedł do takiego o sobie wniosku:

„Jestem dla ludzi niewidzialny,
Samotny, a jednak dumny,
Mych pieśni rytm jest nieśmiertelny,
Z naturą ton ma wspólny..."

Ten wspólny ton z naturą sprawia, że niewidzialny poeta niczem się nie przejmuje, tak subtelnie czytelnikom to klaruje:

„Choć często kiszki marsza grają,
Spragniony jestem wiele, bal
Lecz zato inni więcej mają,
Ja gwiżdżę na to bim! bum, ba!"

Nie gwizdał za to pewien starszy gentelman, który ujrzawszy poetę zaglądającego mu przez okno do chałupy, podniósł się z miejsca, bynajmniej nie w pokojowych zamiarach. Nie było rady, zeznaje autor „Bez echa".

„Prędko skoczyłem przez znany mi przełaz,
Potem przez płot i na szosę,
Za sobą słyszałem wrzawę i hałas,
Trzymajcie, trzymajcie bandytę"

Bandytę? Stanowczo za mocne słowo na określenie tak delikatnego poety; wystrzczyłoby: włamywacz. N. p. *włamywacz do poezji*. Lepiej to jakoś brzmi i bardziej przekonywująco.

Czarujący ten tomik poezyj „Bez echa", które już teraz nie przejdą bez echa, autor kończy apelem do żebraków, w którym powiada tak:

„Wiesz, jeślibyś zebrał wszystkie twe siły,
I wojnę wydało serce,
Niejedneby NOGI GŁOWĘ straciły".

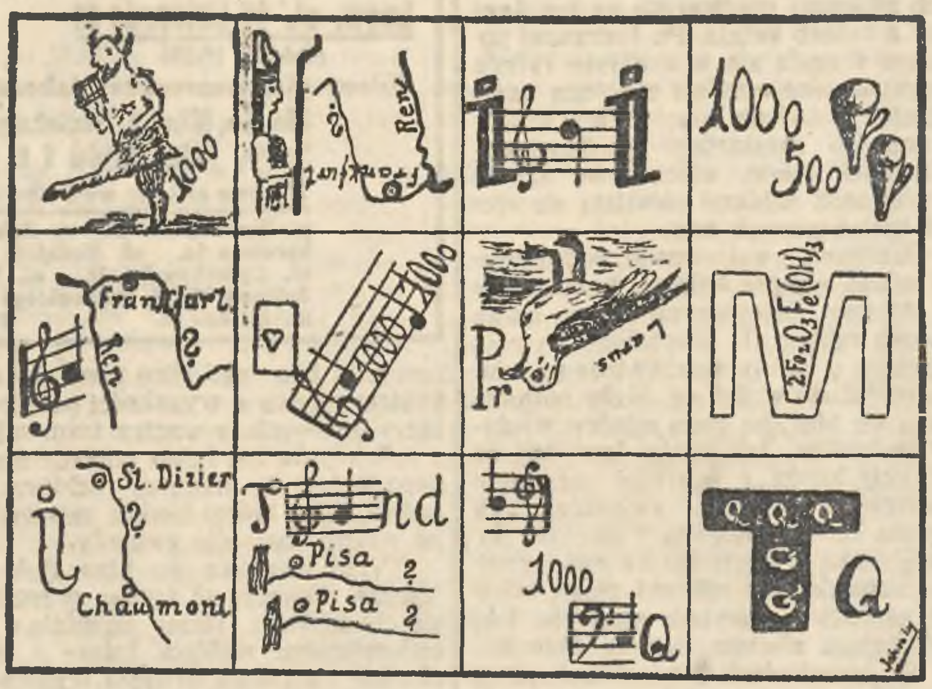
Ładny figiel! Nogi tracą głowę... a co stracił autor?

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Zadanie potrójne [1]

Szarada - rebus - logogryf

(Ułożył „John Ly")



Już w Polsce polska **druga-trzecia**.....,
nowego życia raduje się.....!
Swej narodowej oddana....
w oparach jadów masońskich nie......
„Elita" **czwór-pięć** — da Bóg, że na....,
zczezło bezprawie i terror, ...
rządzim się równem dla każdego......!
Życie publiczne już nie grzęźnie w.......
i mętnem bagnie, bo **piąta**......
raz-druga-trzecia już w niem........: :!
Koniec kryzysu, niedoli.......,
bo „**czwór-raz-druga**" raz do trzech[2])
do......!

Zadanie to ukrywa w rozwiązaniu **tezę** i **antytezę**. Należy odcyfrować 12 rebusików i uzyskanemi wyrazami dopełnić kolejno 12 wierszy szarady. Rozwiązanie szarady da **tezę**. Wyrazy zaś uzyskane z rebusików tworzą logogryf, kryjący w sobie **antytezę** (w pierwszych literach).

1) **Za trafne rozwiązanie tego zadania** przeznaczona specjalna nagroda od autora.

2) **Pierwsza-druga-trzecia**.

Szarada

(Ułożyła Helena Mokrzycka, Drohobycz)

Wiosenka przyszła, kwitną gładysze,
pięć-szóste-siódme dzwonią jak dzwonki,
Ziemia rozgrzana paruje, dyszy,
cieplutkie, jasne, wiosenne dzionki!
Raz godzin kilka już święta przecie
Święta radości i Zmartwychwstania!
na stół święcone **raz-drugie-trzecie**,
babki, mazurki, wykwintne dania...
Gromady **szóstych** w las odleciały
dziwne **pięć-siódme** wróbel wyprawia,
wesoło ćwierka, pewny, zuchwały,
do smacznych kąsków dzióbek nastawia.
Sikorki gniazdko **u-drugie-czwarte**,
pszczółki przy ulu wesoło grają,
słońce zagląda w okna otwarte,
dzieci szczęśliwe — skaczą, biegają!

—o—

Logogryf

(Ułożyła Marja Waksmundzka, Jasło)



1) Jest to przepaść niezgłębiona.
2) Tak na krzewach zwą się grona.
3) Znany owad — lecz nie pszczoła.
4) Samogłoska — czysta, goła.
5) Tak się zowią też marzenia.
6) Służą zimą do jeżdżenia.
7) To są nocne przywidzenia.
A sam środek do zgadnienia.

Ciągówka

(Ułożył J. Marczyński)



Znaczenie wyrazów: 1) wróg zbrodniarzy, 2) żołnierze zapasowi, 3) teorja o złudzeniach, 4) wesoła zabawa karnawałowa, 5 imię żeńskie, 6) „ostrokół" (wspak) 7) „inicjator", 8) starodawni śpiewacy wędrowni, 9) miasteczko w woj. Stanisławowskiem, 10) izraelici pochodzący od Leviego, 11) legitymacja akademicka.

Liczby wskazują początek poszczególnych słów. — przyczem końcowa litera poprzedniego jest początkową następnego wyrazu.

Litery znajdujące się w kratkach numerowanych, odpowiednio czytane, dadzą rozwiązanie.

Dla ułatwienia rozwiązania dodajemy, że pierwsze trzy wyrazy mają po 10 liter 4 i 5 po 9 liter 6 i 7 po 8 liter, 8 i 9 po siedem, a 10 i 11 po sześć liter.

Szarada Wielkanocna

(Ułożył „John Ly")

Szósta, mistycznych pełna drżeń,
wsiąkła w pogodny **drugi-trzeci**.
Wesoły dla nas nastał dzień,
co w duszach skry nadziei nieci.
A w **drugie-siódme** krwawe serc
wlewa kojący lek Zbawiciel —
Ten, co zwyciężył samą śmierć
Swą śmiercią nowe tchnął w nas życie.
Więc **czwarta-piąta** radość dziś
spływa na serca utrapione.
Otuchą się ożywia myśl,
gdy jajkiem dzielim się święconem.
Stół ubożuchny na ten rok..
W białym czepeczku **pierwsza-pierwsza**.
Z ponad niej **Cały** śle nam wzrok,
Co błogosławi i pociesza...

Zagadka — przestawianka

(Ułożyła „Arja")

Weźmij **tylko „dach świata" i stolicę świata"**..
Stosownie je przebuduj: zaskoczy cię..
data..

Szarada wzrokowa

(Ułożyła Helena Mokrzycka, Drohobycz)

Przyleciały z za morza bociany,
Runią świeżą pokryły się łany,
Idzie do nas śliczna cud wiosenka!
Miła, dźwięczna, głosi ją piosenka.
Anemony w pęczach, fiołki w kwiecie,
A na polu pracą już wre życie.
Pełno muszek i motyli lata,
Rankiem z pieśnią skowronek ulata:
I dzwoni rolnikowi dzień cały
Lasy gwarzą, sady pobielały.
Idzie, idzie w blaskach zórz skąpane!
Szczęśliwa, błoga i roześmiana.

—o—

Rozwiązania z dopiskiem „Dział rozrywkowy" prosimy nadsyłać do Redakcji najdalej **do środy, dnia 11 kwietnia br.**

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań przeznaczamy jako nagrodę do rozlosywania interesującą powieść.

—o—

Rozwiązanie zadań z nr. 78

Okienko: 1) Sekstet, 2) respekt, 3) rebelja, 4) starter, 5) stopnia, 6) trutnia — „Ster".

Szarada-bajka: Spodziewaj się wbrew nadziei!

Szarada: Wieczorna gwiazdo!

Konikówka: Wieczorna gwiazdo!
Sercom naszym daj spokój zmierzchu
czerwcowego,
promieniste anioły niech snów naszych
strzegą
Oto jest prośba nasza, cicha i pokorna,
Gwiazdo wieczorna!

Szarada: Nastroje kinowe.

Szarady trudne: 1) Helena Mokrzycka 2) Członkini Klubu Szaradzistów.

—o—

Rozwiązania nadesłali.

Ze Lwowa pp.: Eug. Dworski „Arja" J. Kwiczoł, Em. R. Hel. Kowalska, Jotto Wład. G., „Irka" R. Wit., H. Konstantynowicz, inż. J. W., Antoni Dworski, Zofja Fr. Bron. Ostrowski, „Halina", Irewu Jota.

Z poza Lwowa pp.: Mich. Różycka (Orzesze), Kazim. Jurkiewicz (Śnjatyn) Cz. Murczyński (Kraków), J. S. (Kraków- M. Kański (Kraków), „Olga" (Jarosław) „Zbych" (Warszawa). H. Mokrzycka (Drohobycz) M. Lityńska (Przemyśl-, ks. J. Domański (Drohowyże).

Nagrodę uzyskał p. **Eugenjusz Dworski** we Lwowie. Prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór w kantorze (Zimorowicza 10).

Czytelnikom, przyjaciołom i współpracownikom „Działu rozrywkowego" serdeczne życzenia „Wesołych świąt" przesyła

REDAKCJA.

I gadaj tu z takim!...

(humoreska z rosyjskiego)

Znajomość moja z Zaskinem datuje się od chwili, gdy wyleciał on z okna pierwszego piętra i upadł na bruk podwórza, pod oknem mego mieszkania. Byłem pewny, że zabił się na miejscu, lub conajmniej ciężko pokaleczył; — ale już po chwilce dźwignął się z ziemi, otrzepując ubranie z pyłu i brudu.

Żal mi się go zrobiło.

— Może panu czemś mogę pomóc? — zagadnąłem go.

— Owszem, — odparł skwapliwie!

— Zatem proszę do mnie!

Wszedł do mego mieszkania z pewną miną — i wyciągając rękę przedstawił mi się

— Zaskin!

— Bardzo mi przyjemnie... Potłukł się pan bardzo?

— Gdzieżtam... ot, drobiazg, niema o czem mówić!

— Zapewne umizgał się pan do...

— Ależ nie! Widzi pan, jacy ludzie są niewdzięczni: ja im życzę jaknajlepiej, staram się nakłonić, by ubezpieczali swe życie... a oni mnie wyrzucają przez okno,

— Zatem jest pan ajentem asekuracyjnym?... czem mogę więc panu służyć?

— Prosta rzecz: jakiego rodzaju ubezpieczenie decyduje się pan zawrzeć? Na wypadek śmierci, czy przeżycia, czy ze zwrotem premij, czy na rentę...

— Ależ ja wogóle nie myślę się asekurować!

— A pańska małżonka?

— Jestem kawalerem...

— W takim razie musi się pan ożenić... Mogę pana zapoznać z pewną panienką,. powiadam panu, poprostu palce lizać!... dwanaście tysięcy posagu gotóweczką na stół... rasowa brunetka..: Ma pan czas jutro? pojedziemy razem, przedstawię pana... czarne ubranie, biała kamizelka.. jeśli pan nie ma, wystaram się panu i o to...

— Ależ, panie Zaskin — przerwałem ten potok wymowy — gdzie mnie myśleć o żeniaczce! Przy moim wyglądzie: niski, łysy, uszy odstające, pełno zmarszczek na twarzy!

— Zaraz, zaraz!... — odparł spokojnie — Co do łysiny, spróbuj pan nasmarować głowę tym preparatem, którego mam wyłączne zastępstwo: po paru dniach będzie pan obrośnięty jak orzech kokosowy. Na odstające uszy i na zmarszczki polecam panu specjalną maskę: skutek gwarantowany! A co do niskiego wzrostu, — to patrzaj pan: posługując się tym oto patentowanym aparatem ginmastycznym zyska pan za miesiąc najmniej 10 ctm. na wzroście.

Już mi było za dużo tego trajkotania. Ściskając dłońmi skronie wyjąkałem z trudem:

— Daruje pan... naprawdę nie potrzebuję niczego.. a taki jestem zdenerwowany...

— Zdenerwowany?... Czemuż mi pan tego odrazu nie powiedział? Patrz pan na te kieszonkowe aparaciki, wręcz nieocenione w działaniu: jedno pociśnięcie i ma pan gotowy tusz na głowę lub na kark i szyję... A jeśli cierpi pan na bóle głowy, polecam „migrenine"... niezawodny środek.

Nie czułem się już na siłach do dalszej walki:

— Przepraszam pana, — oświadczyłem stanowczym tonem, — ale nie mam czasu... Mam jeszcze pilną, a męczącą robotę — muszę napisać artykuł..

— Męczącą, powiada pan? — powtórzył ze współczuciem, — A wie pan, czemu pana praca tak męczy? Bo nie używa pan dotąd mego patentowanego, rozkładanego pultu do pisania i czytania! Dla literata to rzecz nieoceniona poprostu! Sztuka tylko cztery ruble...

— Wynoś się pan do djabła! — krzyknąłem w pasji, — bo pani łeb rozbiję tym oto przyciskiem!

— Tym przyciskiem? — powtórzył, rzucając pogardliwe spojrzenie na moje biurko — ależ to paskudztwo rozbiłoby się w kawałki na mojej głowie! Jeśli pan chce mieć naprawdę mocny i porządny przycisk, mogę panu dostarczyć tanio cały garnitur na biurko, z prawdziwego malachitu...

Bez słowa pocisnąłem dzwonek elektryczny. Upłynęła dobra chwila, — Zaskin stał bez ruchu, z głową pochyloną. Ale nikt się nie zjawiał...

Po dwóch minutach pociągnąłem ponownie dzwonek.

— Dobre pan ma dzwonki! — zauważył zjadliwie Zaskim. Umilkł, ale widziałem, że aż kipiał wewnątrz.

Nie wytrzymał dłużej:

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, — zaczął wreszcie, nieśmiało, — że bywają i duże lepsze... Za siedem i pół rubla mogę panu dostarczyć kompletne urządzenie dzwonka... z baterją, instalacją eleganckim guziczkiem..:

Zerwałem się od biurka, złapałem go za kark:

— Wynoś się pan!... bo czuję, że mnie chyba szlak trafi!..

— Niech Bóg broni! — wtrącił współczująco. — Ale, gdyby do tego doszło, postaram się w Zakładzie pogrzebowym którego mam zastępstwo, by pani urządzili pogrzeb drugiej klasy... z odpowiednim rabatem..

Wypchnąłem go za drzwi, zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do biurka.

Po chwili słyszę przy drzwiach jakieś szmery. Odwracam głowę, — widzę, że klamka się porusza. A za chwilkę w otwartych drzwiach staje Zaskin. Uważał sobie za obowiązek polecić mi jeszcze patentowany prawdziwy angielski zatrzask do drzwi, — gdyż mój zamek — jak się pokazuje, — daje się z zewnątrz bez trudu otworzyć.

Wydobywam ze szuflady nabity rewolwer, mówiąc zimno:

— Jeśli pan natychmiast nie zniknie, zastrzelę pana jak psa!

A Zaskin stoi, uśmiechając się spokojnie:

— Da mi to okazję do zademonstrowania panu nieocenionych zalet pancerza bezpieczeństwa, którego jeden egzemplarz okazowy mam na sobie. Mam na nie wyłączne zastępstwo... a w tych niepewnych czasach taki pancerz to rzecz nieoceniona..